



ZOFIA ŻURAKOWSKA

Skarby


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska



Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Nowoczesna Polska.

ZOFIA ŻURAKOWSKA

Skarby

*Tam skarb mój,
gdzie serce moje
Dla Ani*

*— Miła oku, a licznym rozżywiona płodem
Witaj, kraino mlekiem płynąca i miodem —*

ROZDZIAŁ I. PO KTÓRYM NIE NALEŻY SĄDZIĆ O POZOSTAŁYCH

— Przecież już jest wiosna! — rzekł Olek, wyglądając przez otwarte okno sali jadalnej na rosnące w podwórzu kasztany. *— Jest już wiosna, pączki lada chwila popękają, wiśnie w Nizpolu*

już na pewno kwitną, a pola są zielone i miękkie jak atłas. A my siedzimy w Warszawie! A to wszystko dlatego, że ja chodzę do szkoły. Bo-dajby piorun trzasnął tę szkołę!

Marta, która właśnie nalewała dla kota mleko na spodek swej filizanki, choć miała to surowo wzbronione, postawiła ów spodek pod stołem i rzekła ze smutkiem:

— Na pewno jest teraz mnóstwo małych kurcząt i żółtych kaczuszek, jak przyjedziemy, już będą duże!

— Wolałbym nie mieć jeszcze trzynastu lat! Uczyłbym się w domu i siedzielibyśmy jak dawniej cały rok w Nizpolu — dodał Olek z głęboką goryczą. — Głupi byłem, ciesząc się z tej szkoły, wielka pocięcha być dorosłym i siedzieć całą wiosnę w mieście. A teraz w dodatku spóźnię się na łacinę — dodał, rzucając okiem na zegar. — Zresztą nic mnie to nie obchodzi, chciałbym, ażeby mnie wyrzucili! Przynajmniej wrócilibyśmy zaraz do Nizpola.

— Och, Olku! — jęknęła zgorszona Marta, ale w tej właśnie chwili weszła matka i z uśmiechem pełnym radosnego zawstydzenia rzekła:

— Dzieci, zdecydowaliśmy z ojcem, że pojutrze jedziemy do Nizpola. Olek skończy kurs w domu. Jest wiosna... — mówiąc to, matka wyglądała trochę jak przyłapany na gorącym uczynku figlarz, zarumieniony, ale i pełen uciechy.

Olek oszołomiony nagłą wiadomością w pierwszej chwili nie zrozumiał, a Marta uchwyciła matkę za rękę i spytała drżącym z radości głosem:

— Jak to, mamó, doprawdy pojutrze wracamy do Nizpola?

— Tak — odpowiedziała matka — właśnie pojutrze. Przez dziś i przez jutro trzeba zwinąć mieszkanie i spakować rzeczy, jeśli więc chcecie, ażebyśmy zdążyli, musicie dołożyć wszelkich starań, a głównie nie przeszkadzać starszym.

Teraz dopiero Olek zrozumiał, że to nie sen i z radości cisnął teczkę z książkami pod sam sufit.

Trzeba było czym prędzej oznajmić nowinę młodszemu rodzeństwu; puścił się więc do dziecinnego pokoju, przedeptując po drodze ogon kota, który nazywał się Mokronowski i lubił spokój.

Ale Marta chciała być pierwszą zwiastunką radosnej wieści, więc zamiast biec przez przedpokój, przeleciała przez sypialnię rodziców i wpadła do pokoju dziecinnego o jedną sekundę wcześniej niż Olek. Zasapana nie zdążyła jeszcze powiedzieć pierwszego słowa, gdy we drzwiach ukazał się Olek. Zobaczywszy Martę pierwszą, obraził się:

— Dobrze! Mów sobie sama! — wykrzyknął i odwrócił się plecami do pokoju z zamiarem wyjścia..

Teraz Marta się obraziła:

— Ależ nie! Proszę cię, mów! — Ania zaczęła się strasznie śmiać, a Tom, który pisał

właśnie w pocie czoła „Mama kupiła maku”,
położył pióro i zapytał:

— Co się stało?

Wtedy Olek i Marta zdecydowali się i po-
wiedzieli jednocześnie:

— Pojutrze jedziemy do Nizpola!

Na te słowa powstał hałas nieopisany. Nik,
Tom i Ania, pochwyciwszy się za ręce, zaczęli
tańczyć w środku pokoju, wyśpiewując na całe
gardło pieśń małp z *Księgi Dżungli*, a Olek za-
topił ręce w kieszeniach i patrząc z pogardą na
niesforne rodzeństwo, rzekł:

— Oto są prawdziwe małpy. — Nim się
jednak opamiętał, został schwycony za ręce i mu-
siał tańczyć pospołu z rodzeństwem, śpiewając
zwycięsko:

trop stracony
mniejsza o to!
my z ochotą
ciągniemy siebie
za ogony!

Całe szczęście, że właśnie niania i panna Maria były w kuchni, inaczej nie wiem, jak by się to wszystko skończyło.

Tymczasem Marta, widząc, że te objawy dzikiej radości coraz gwałtowniejsze zaczynają przybierać formy, zawołała bardzo głośno:

— Jeżeli nie uciszycie się natychmiast, nic wam już więcej nie powiem — uciszyło się więc i Tom rzekł:

— Mów — i nastąpiła chwila ciszy, bowiem Marta, Bogiem a prawdą, nie wiedziała wcale, co by tu powiedzieć; wkrótce jednak przypomniała sobie słowa matki, rzekła więc:

— Jeżeli chcecie, żebyśmy zdążyli wyjechać pojutrze, trzeba się o to postarać. Powinniśmy zgromadzić nasze rzeczy, zachować się przyzwoicie, pomagać starszym, a nie przeszkadzać.

— No tak, to już na dziś dosyć pisania — zawyrokował Tom i włożył kajet do szuflady, gdzie w największym porządku, jedno obok drugich leżały ołówki, gumki, farby, papiery, sznureczki, buteleczki od perfum, zepsute lamp-

ki elektryczne i tysiące potrzebnych rzeczy, które zapobiegliwy Tom gromadził, mając najgłębsze przekonanie, że wszystko przydać się może w odpowiedniej chwili.

Wszystkie te osobiste drobiazgi postanowił spakować w wielkie pudło od klocków i właśnie zaczął zabierać się do tej czynności, gdy spotkało go wielkie rozczarowanie. Panna Maria, powróciwszy z kuchni, zdziwiła się bardzo, iż przerwano lekcje, i kazała natychmiast do nich powrócić.

— Na pakowanie czas jeszcze będzie, przede wszystkim trzeba spełnić swoje obowiązki — oznajmiła.

Tak, i ten dzień wyjątkowo trzeba było spędzić jak każdy inny, toteż dzieci poczuły się pokrzywdzone. Olek spóźnił się do szkoły, Nik dostał trójkę za nieuwagę, wszystko poszło źle i zdaje mi się, że wieczorem nikt nie był zadowolony ani z dnia, ani z siebie.

ROZDZIAŁ II. TOM I BILET

Naprzód pojechali na stację: Jan, Marysia, Brygida, Mokronowski i rzeczy, potem ojciec z Olkiem, Martą i Nikiem dorożką, a na końcu powozem: matka, panna Maria, Tom, Ania i foks.

Na stacji było jak zwykle straszne zamieszanie. Z trudem się odnaleziono i umieszczono wygodnie; matka z dziewczynkami i panną Marią w jednym przedziale, ojciec z chłopcami i foksem w drugim.

Ze dwadzieścia razy przybiegł jeszcze Jan z przeróżnymi paczkami i pytaniami, z pięć razy przybiegła Marysia; Brygida, ma się rozumieć, nie ruszała się już wcale ze swego wagonu, w śmiertelnej obawie, że zostanie.

Parę razy jacyś państwo chcieli wsiąść do tego samego przedziału, ale ojciec bronił go mężnie i musieli pójść dalej; nareszcie wszystko się uspokoiło i pociąg ruszył.

Prawie zaraz potem Nik z Tomem pobili się przy oknie, Nik bowiem usiadł na stoliku i zasłonił sobą całe okno tak, że nikt już wię-

cej prócz niego nie mógł wyglądać; Tom naturalnie chciał również oddać się tej najmilszej w kolei czynności, a że Nik nie uważał na jego grzeczne prośby, pociągnął go więc znienacka za nogi. Nik spadł, ale przewrócił sobą Toma na ławkę, przy czym dał mu parę porządnych szturchańców.

— Wstydzicie się, chłopcy! Ledwo ruszyliśmy, a już rozpoczynacie kłótnie — zgromiła panna Maria, wchodząc do przedziału. — Nik, usiądź tu z boku na ławce, to będziecie mogli razem wyglądać.

Ale Tom zniechęcił się do wyglądanania, siadł w rogu ławki i nadał się.

Tymczasem ojciec powrócił z drugiego przedziału, usiadł, wyjął z kieszeni bilety i zaczął je przeliczać. Tom przysunął się do niego.

— Który bilet jest mój, papo? — zapytał.

— Ten, który sobie wybierzesz, mój mały — odparł ojciec z uśmiechem.

— Jak to? Który sobie wybiorę? Więc proszę papy mi dać ten bilet.

— Dobrze, ten właśnie może być twój, ale ci go dać nie mogę, bo zgubisz. Schowam go tu do kieszeni, a kiedy przyjdzie konduktor, powiem, że ten właśnie jest twój — odparł ojciec.

Ale Tom się uparł:

— Nie zgubię, papo, słowo daję, że nie zgubię. Schowam go doskonale. Och, proszę mi go dać!

— No dobrze — zgodził się ojciec — pamiętaj jednak, Tomku, że jeśli go zgubisz, będziesz musiał wysiąść na najbliższej stacji. Nic nie pomoże! Bez biletu jechać nie pozwolą nikomu.

Tom wziął bilet i schował go do kieszeni spodni, ręki jednak nie wyjmował z kieszeni, aby dobrze czuć pod palcami twarde jego końce. Chwilę siedział napuszony i dumny. W końcu jednak nie wystarczyło mu wewnętrzne poczucie własnej odpowiedzialności i wagi. Postanowił zaimponować innym. Wstał więc i przeszedł do przedziału dziewczynek.

— Czy masz swój bilet? — spytał Marty z pozorną niedbałością w głosie.

— Swój bilet? Nie, nie mam — odrzekła Marta bez wzruszenia i wskoczyła na ławkę, by położyć beret w siatce.

Tom zniżył się do Ani, pewien tym razem efektu.

— Aniu, czy masz swój bilet? — powtórzył pytanie.

— Nie mam — powiedziała Ania i spojrzała na Toma z zaciekawieniem.

Wówczas Tom wyciągnął z kieszeni biały, sztywny kawałek kartonu i rzekł z godnością:

— A ja mam!

— To jest bilet? Prawdziwy? — zapytała Ania, dotykając go paluszkami.

— Nie dotykaj, bo zgubisz — rzekł Tom pełen powagi i majestatu — a wówczas musiałbym wysiąść na najbliższej stacji. Nie mógłbym przecież jechać bez biletu!

— Mógłbyś wleźć pod ławkę — rzekła, śmiejąc się, Marta — a tymczasem puść mnie do okna.

— To nie byłoby uczciwie! — zaprotestował Tom.

— Owszem, bo przecież bilet naprawdę jest kupiony, a gdyby zginął, to byłby tylko wypadek.

Tom nie był przekonany; zawrócił i wyszedł na korytarz. Bilet swój schował do kieszeni kurtki, ale po chwili nie wydało mu się to bezpieczne. Wyjął więc chusteczkę do nosa, zawinął nią bilet i schował do kieszeni spodni. Potem zaczął wyglądać oknem.

Było niezmiernie przyjemnie patrzeć, jak wszystko ucieka przed oczu z szybkością niepomiarową, jak dym wielkimi kłębami przelatuje, układając się w najdziwniejsze kształty i formy, jak widok zmienia się z sekundy na sekundę. Drzewa, chaty, słupy uciekały zawrotnie szybko i patrząc na nie, Tom rozmyślał nad tym, jak dobrze jest być małym człowieczkiem i pędzić naprzód godzinami bez najmniejszego zmęczenia.

— Ale ta biedna lokomotywa to już sapie!
— przewinęło mu się przez odurzoną myśl.

Napatrzywszy się do syta, wrócił do przedziału. Olek właśnie zabierał się do książki, a Nik

rozparty na ławce starał się dobrać jakąś melodię do skocznego taktu pędzących wagonów. Ojciec czytał gazetę.

— Chłopcy, oto macie bułeczki z szynką i czekoladę — rzekła panna Maria, wchodząc i położywszy dwie serwetki na stole, wyszła. Olek i Nik, bliżej siedzący, schwycili serwetki, okryli się i zaczęli jeść. Tom zaś wyjął chusteczkę, rozpostarł ją na kolanach i zabrał się również do jedzenia. Potem wstał, wytarł usta i wyszedł godnie na korytarz.

Wtem drzwi przeciwległego końca wagonu otworzyły się i weszli dwaj konduktorzy; zaraz też odsunęli drzwi pierwszego z brzegu przedziału i Tom usłyszał głos:

— Proszę o bilety.

Wtedy przypomniał sobie bilet i spokojnie włożył rękę do kieszeni, ale pod palcami poczuł tylko chusteczkę. Wyjął ją więc i wytrząsnął. Nic nie wyleciało. Tom włożył rękę do drugiej kieszeni... scyzoryk i sznurek... do kieszeni górnych... kalendarzyk, notesik!

W śmiertelnym przerażeniu Tom przypomniał sobie, że w przedziale wyjmował chustkę do obtarcia ust, wszedł więc nieśmiało i spojrzął na podłogę, potem pod ławkę, potem na ławki... nigdzie! Rozejrzał się: ojciec i Olek czytają, Nik wygląda oknem.

Tymczasem kroki konduktorów już blisko. Tom wykrztusił więc:

— Papo...

— A co, Tomku? — spytał ojciec zza gazety.

— Zgu... zgubiłem mój bi... bilet! — gazeta uchyliła się i ojciec spojrzął zdziwiony.

— Zgubiłeś bilet? Ależ to niemożliwe!

— Tak... zgubiłem!

— Nigdy w to nie uwierzę! Przecież miałeś go tak dobrze schować! Poszukaj, tylko starannie.

Wówczas Tom wywrócił jedną kieszeń, potem drugą, potem obie kieszenie kurtki. Wyleciało dużo rzeczy, ale biletu nie było.

Tom siadł na ławce i zaczął rzewnie płakać.

Ojciec tymczasem rzekł stanowczo:

— Będziemy musieli zatrzymać pociąg i wysadzić cię, nie ma innej rady!

Rozpacz ogarnęła Tomka. Pozostać tu, gdzieś w polu, sam jeden? Może jeszcze na całą noc? Nie, nigdy!

— Papo — wyszlochał — może bym mógł wleźć pod ławkę?

Wówczas stało się coś dziwnego, ojciec wybuchnął śmiechem, śmiał się tak, aż mu łzy spływały po twarzy. Śmiali się również Olek i Nik, aż Marta i Ania przybiegły z tamtego przedziału i także zaczęły się śmiać, choć same nie wiedziały czego.

Tom osłupiał. Łzy zawisły mu na rzęsach, a usta się otworzyły. Nie mógł zrozumieć, jak mogą się śmiać z tego, że on, mały, bezradny chłopiec będzie musiał zostać sam jeden w lesie albo na polu!

W końcu ojciec uspokoił się, przyciągnął Tomka i rzekł:

— Trwoga, którą przed chwilą przebyłeś, niech ci będzie słuszną karą. Mam nadzieję,

że zapamiętasz to sobie na przyszłość. Oto jest twój bilet; zgubiłeś go, wyciągając chustkę z kieszeni.

Kamień spadł z serca Toma. Ucałował rękę ojca.

Właśnie konduktorzy weszli i jeden powiedział:

— Panowie, proszę o bilety.

Tom wyciągnął swój i odwrócił się do okna, aby nie zobaczyli, że płakał.

ROZDZIAŁ III. NASZE DOMY

Kiedy już minął pierwszy szal radości wywołanej przyjazdem, kiedy już dzieci jak rozbrykane źrebięta przebiegły cały dom, park, ogród owocowy, stajnie i obory, zebrały się wszystkie na końcu parku, w dużej, okrągłej altanie, utworzonej z wielkich, starych lip stojących kręgiem.

Liście na wszystkich drzewach były jeszcze malutkie i cudnie zielone, ciemne, pach-

nące fiołki pokryły cały trawnik nad stawem, że się wydawał fioletowy.

Powietrze napełnione było tym cudownym, świeżym zapachem wilgotnej, ciepłej ziemi, kwiatów wiosennych, na wpół rozwiniętych drzew, aż dzieciom piersi rozsadzała niepojęta radość i wesele.

Nik coraz to śpiewał i wykrzykiwał, aż echo niosło po parku, a Ania jednej chwili nie mogła ustać na miejscu, podskakiwała, kręciła się na jednej nodze, wywracała, tarzała w wilgotnej trawie.

— Cy widzieliście scenięta Ledy? — zapytała. — Są to najładniejsze scenięta na świecie! I jeden jest mój. Tak, Tomie, naplawdę mój. Papuś mi go dalował!

— Ech! Co tam twoje „scenięta” — rzekł lekceważąco Tom — ale co za cudownego źrebaka ma Sułtanka! To dopiero jest na co patrzeć. Prawda, Olek?

Ale Olek w tej chwili był bardzo zajęty, złapał bowiem małą, zieloną żabkę i przyglądał się

jej tak, jakby nigdy w życiu zielonej żabki nie widział.

— Olek, chodźmyż nareszcie do naszych domów — zaproponował Nik.

— Przypatrz się tylko, Niku, co za śmieszna żabka, mokra, śliska...

— A... podoba ci się tak bardzo? Masz ją! — zawołał Nik i nim się Olek spostrzegł, pochwyił żabkę i wpuścił ją bratu za kołnierz. Olek wrzasnął jak opętany, czując, jak mokre, zimne stworzenie zsuwa mu się po piersiach do pasa i rzuca niespokojnie w okolicach żołądka.

Podskakując nerwowo, rozpiął energicznie bluzę, krzycząc wciąż, zapuścił rękę za koszulę, złapał niewinne stworzenie i cisnął daleko od siebie. Potem puścił się za Nikiem, który przezornie nie czekał na wynik całej sprawy. Że miał dłuższe nogi dopadł go przy murze i obaj potoczyli się po trawie, nie żałując sobie kuksańców, ku wielkiej uciechu Ani i Toma, którzy pokładali się ze śmiechu, patrząc na tak zajmujące widowisko. Marta jednak nie lubiła tego rodzaju przyjemności, rzuciła się więc między

braci jako rozjemca, przy czym oberwała sporo na własny rachunek.

Po paru chwilach wszystko się uspokoiło, chłopcy wstali, otrzepali ubrania, przyglądali włosy i wszyscy razem zgodnie udali się do „swoich domów”.

Osobiste domy dzieci znajdowały się w sadzie pod postacią wspaniałych, rozłożystych jabłoni. Każde z nich miało swój dom o większej lub mniejszej ilości pokoiów i pięter, zależnie od szczęścia. Jaki kto sobie obrał dom, przy takim musiał pozostać przynajmniej przez tydzień, pod grozą utraty szacunku innych.

Olek, Marta i Tom wiernie trzymali się swoich siedzib od lat już wielu, ale Nik nie mógł jakoś miejsca zagrzać. Mieszkał już w ciągu burzliwego swego żywota w wielkich kamienicach o czterech i więcej piętrach, to w parterowych lepiankach, to w zgrabnych pałacykach o szerokich, wygodnych gałęziach, przepraszam — pokojach, to znowuż w gotyckich apartamentach niesłychanie podobnych do starych grusz.

Olek pogardzał podobną zmiennością upodobań, był już jednak ustalony zwyczaj wybaczenia Nikowi więcej niż innym.

Nikowi zaś każde nowe mieszkanie wydawało się z początku idealne i niezmiernie przyjemne, właśnie najlepsze i z pewnością ostatecznie; po upływie jednak pewnego czasu spostrzegał nowe, bardziej urocze i po krótkich wahaniach przenosił się ku zgorzeniu rodzeństwa.

Olek był w swoich upodobaniach stały, kochał swój dom. Od dawien dawna zajmował jedną i tą samą jabłoń, a raczej dom, o dwu piętrach, niedaleko muru. Na lewo od wieków sąsiadował z Martą, która była wierna swemu pawilonowi, gdyż zawsze zadowolona była z tego, co miała i nie pragnęła nigdy więcej ani inaczej.

Tom zaś był stały przez miłość własną... Oto kiedy obejmował swój dom w posiadanie, wszyscy starali się go od tego odwieść. Olek twierdził, że jabłka, które drzewo rodzi, są kwaśne, Nik — że dom jest stary, że tę a tę gałąź

na wpeł uschniętą trzeba będzie zrębać, a więc zmniejszy się ilość pokoi, że mrówek na nim więcej niż gdziekolwiek, a całość w ogóle robi wrażenie fatalne!

Ale Tom się uparł; upodobał sobie to stare, powyginane drzewo o gałęziach pokręconych dziwacznie i odtąd, pomimo że ogrodnik w istocie odpiłował jedną gałąź, pomimo że jabłka okazały się nie tylko kwaśne, ale i robaczywe, pomimo że mrówek było więcej niż gdzie indziej, a całość robiła wrażenie fatalne — trwał na stanowisku.

Daremnie Nik go nęcił, wskazując to a to drzewo bez porównania bardziej zachęcające. Tom był jak opoka, wołał spróchnieć razem ze swym drzewem i wraz z nim się zwalić, anizeli dać za wygraną i przyznać, że zły zrobił wybór.

Ania znów była niesłychanie chwiejna w swych gustach; ile razy ktoś ze starszego rodzeństwa zachwalił dom jakiś, wnet Ania pałała chęcią posiadania go, choć wlażyć mogła za ledwie na najniższą gałąź. Zawsze jej się zdawało, że wszyscy mają domy lepsze od niej i zwykle dzie-

dziczyła przybytki zmiennego Nika, z których wszakże niewiele mogła korzystać, albowiem zbyt były niedostępne na jej czteroletnie nogi.

Jabłonie w sadzie jeszcze nie kwitły, zaledwie wiśnie osypały się białym, puszystym kwiatem, tak delikatnym jak to pierwsze tchnienie wiosny, a tak radosnym jak uśmiech dobrego dziecka. Białe kule kwitnących wisien, pachnące i urocze, napełniły dzieci radością i weselem. Prawie że zapomniały o celu swego przybycia. Stały z zadartymi w górę głowami, wchłaniając rozkoszny, delikatny zapach. Nik westchnął głęboko i rzekł:

— Jest tak cudnie, że aż coś boli!

Ale Olek ofuknął go:

— Dziwak jesteś! Cóż cię ma boleć!

Nagle wszystkie dzieci krzyknęły z oburzenia: oto Ania nagięła ku sobie białą, rozkwitłą gałązkę i złamała ją, nieświadoma zła, które czyni.

— Wstydz się, Aniu — wołał Tom, zaciśnięwszy pięści — wstydz się! Złamałaś kwitnącą gałąź. To musi ją strasznie boleć!

— Mój Boże, taka śliczna gałązka — westchnął Nik, a Marta dodała z przekonaniem:

— To wielki grzech niszczyć kwitnące drzewo.

Ania przeraziła się bardzo. Stała na środku ścieżki, kręcąc niepewnie ułamaną gałązkę... Miała wielką ochotę rozplakać się, ale ambicja nie pozwalała jej na to. Dzieci zaś stały nokoło, trzęsąc głowami nad nią i nad jej gałęzią. W końcu zdecydowano wyruszyć do domów. Ania poszła ostatnia i puściła nieznacznie gałąź na ziemię, by zapomnienie pokryło tę sprawę, ale Tom, który zawsze wszystko widział i był nielitościwy, krzyknął:

— Tak, po to ułamała, żeby teraz rzucić! Brzydka dziewczyna!

Naturalnie tego już Ania znieść nie mogła, powiedziała krótko:

— Jesteś gorszy od Heroda! — zawróciła na pięcie i poleciała do domu.

— Bardzo dobrze — rzekł Tom obojętnie, choć mu porównanie nie poszło w smak, podniósł gałązkę i w kilku skokach dogonił dzieci,

które dotarły do domów, Olek już nawet siedział w najlepszym pokoju ponad drogą i z zadowoleniem rozglądał się po okolicy, Nik ze zwinnością wiewiórki latał po swym ostatnim domostwie, a Marta spokojnie i statecznie sadowiła się między dwoma potężnymi konarami. Tom obszedł swą rudere wokół, wyrwał przez chustkę parę pokrzyw broniących wstępu i dostał się do przedpokoju. Potem podniósł głowę i poczuł najwyraźniej, że coś się zmieniło; bo czyż możliwe, żeby dostawał się wyżej przy pomocy tej tam gałęzi, której za ledwie dosięga palcami? Mój Boże, cóż to się stało? Naturalnie! Odpiłowano gałąź stanowiącą schody! Tom zlął z drzewa, siadł na trawie i gorzko zapłakał.

— Tom, co się stało? Czego ryczysz? — zapytał niezbyt uprzejmie Olek.

— Moje schody... mój dom!...

— Masz też czego płakać! — rzekł pogardliwie Nik. — Stara była rudera, wszystko się waliło!

Marta zeskokczyła z drzewa, kucnęła obok Toma i ocierając mu twarz fartuszkim, starała się pocieszyć go.

— Tyle jest przecież innych, ładniejszych drzew.

Ale Tom był niepocieszony. Zresztą wszystko się nagromadziło, żal złamanej gałęzi, złość na Anię za Heroda, teraz ten dom! Słowem, Tom nie dał się ukoić, wstał i bardzo smutny poszedł do parku, aby nie patrzeć więcej na inne jabłonie, które sobie obrzydził.

ROZDZIAŁ IV. NIK I DUSZA

Któregoś dnia ojciec zawołał chłopców do swego gabinetu.

Weszli obaj niespokojnie, przypominając sobie na gwałt, co który w ostatnich czasach zbroił i robiąc odpowiednio skruszone miny.

Ojciec pisał coś właśnie, musieli więc chwilkę czekać, którą to chwilę Olek wyzyskał na przygotowanie możliwej ilości wykrętów, a Nik na skruchę.

Tymczasem ojciec powiedział chłopcom, iż oto jutro przyjeżdża do Nizpola *monsieur* Martin, nowy ich profesor i opiekun. Ojciec powiedział nadto, że *monsieur* Martin ongiś wychował jego i stryja Henryka, że jest to człowiek już niemłody, ale bardzo mądry i dobry, że trzeba go będzie słuchać bezwzględnie i starać się nie robić mu przykrości. Potem ojciec zapytał, czy dobrze zrozumieli, czego od nich wymaga i czy obiecują stosować się do jego życzenia. Ale Olek i Nik tak byli zaskoczeni tą wiadomością i tak przerażeni niespodziewaną opieką, że tylko mruknęli coś niewyraźnie. Ojciec zmarszczył brwi.

— Jak to? Proszę głośniej! Czy obiecujecie mi szanować i słuchać pana Martin, który dla mnie i waszego stryja był niezmiernie dobrym i zastępował nam ojca?

— Obiecujemy — rzekł Olek bez zapału, a Nik dodał „obiecujemy go szanować”, po czym wyszli z gabinetu, czując zresztą dobrze, że ojciec nie jest z nich zadowolony. W mil-

czeniu minęli salon i zatrzymali się w sali bilardowej; tu Nik nie wytrzymał i zgrzytnął:

— Tak! Właśnie! Będziemy mieli nudnego starucha, który będzie za nami łaził wszędzie i nic już nie będzie wolno robić, nic... nic!

Olek był również wściekły:

— Do kroćset! Myślałem, że choć jedno lato obejdzie się bez opieki! I w dodatku obiecaliśmy go słuchać!

— Wcale nie obiecywałem! — krzyknął Nik.

— Nie obiecałeś? Niku, jak możesz tak kłamać!

— Wcale nie kłamię — rozindyczył się Nik — obiecałem go szanować, nic więcej, zupełnie nic!

Olek oniemiał, ale po chwili zapalał świętym oburzeniem:

— Ale ja, ja odpowiedziałem na oba pytania papy: „obiecujemy”, to znaczy my obydwaj obiecujemy: „szanować i słuchać”.

— Trzeba było mówić tylko za siebie! — krzyknął Nik, potem wyleciał pędem i ulżył sobie, trzasnąwszy drzwiami.

W ogóle był wściekły i nawet nie wiedział, co z sobą zrobić. Swoim zwyczajem puścił się przez park na łączki. Po drodze myślał:

No, bo to lato układało się znakomicie! Przede wszystkim wyjechali dużo wcześniej z miasta niż to było w projekcie, potem panna Maria dostała od rodziców urlop na miesiąc i wyjechała, a że niania, ma się rozumieć, zajmowała się tylko Anią, więc Nik i Olek używali swobody!

A teraz? Mój Boże, wszystko się miało skończyć!

Nik w myśli nazwał pana Martin nieznośnym pokraką, korniszonem, ropuchą i wielu innymi szkaradnymi wyzwiskami, których wolę nie powtarzać.

Pędził przez park wzburzony, bijąc piętami ziemię, aż się robiły głębokie ślady w świeżo

gracowanych¹ ścieżkach. W końcu dopadł do łączki i rzucił się jak długi na wał otaczający fosę.

Pograżył się cały w wysokiej, wilgotnej trawie, pachnącej delikatną wonią rozkwitłych wiosennych kwiatów. Zerwał z pasją garść różnego zieleń, które się pochyliło nad jego głową i rzucił w bok. Potem leżał nieruchomy, żując w sobie złość.

Naokoło śpiewały ptaki. Wilga gdzieś niedaleko pogwizdywała radośnie i ochoczo, aż zdało się przez chwilę Nikowi, że to Olek go nawołuje, taki był bowiem między nimi umówiony znak. Gdzieś dalej dzięcioł coraz to zastukał w korę, a potem skrzętnie wyszukiwał wijących się robaczek.

— Wstrętny staruch! — pomyślał Nik, o panu Martin naturalnie, nie zaś o dzięciole — będzie ciągle nad nami ślęczał.

W tejże chwili jednak ogromny biały motyl siadł tuż obok niego na delikatnej różowej

¹*gracowany* — uporządkowany za pomocą *gracy*, tj. narzędzia o metalowych zębach przytwierdzonego do drewnianego trzonka; por. *gracować*: usuwać chwasty i płytko spulchniać ziemię gracą. [przypis edytorski]

smółce, aż się zachybotła pod ciężarem jej lepka, ciemna łodyga. — Czy to prawda? pomyślał Nik, że motyle żyją tylko kilka godzin? Czyż to możliwe, żeby ten cudny, biały motyl o skrzydełkach pociętych niebieskimi żyłkami, śliczny, smukły, lekki, miał lada chwila leżeć gdzieś martwy, między wysokimi trawami? I czy to prawda, czy to możliwe, aby nie miał duszy? Umrze taki motyl biały i koniec! I nic po nim nie zostanie prócz tej pary biednych, zwiotczających skrzydeł!

W tej chwili wzrok Nika padł na urwaną wiąź ziela, którą w pasji cisnął; pięć czy sześć długich, wykłoszonych traw, bażka jedna różowa, słodka, pachnąca i dzwonek o kieliszkach miękkich, zwiędniałych. Oto wyrwał swawolną ręką taką garść traw, pozbawił życia i cisnął, zgoła mu niepotrzebną!

Bo zresztą to wcale nieprawda, aby owady, zwierzęta i rośliny nie miały duszy! Po cóż by żyły?

Nik siadł cały wzburzony i głęboko przejęty. — Po cóż by latał taki biały, lekki mo-

tyl, skoro po paru godzinach już nic nie ma po nim pozostać? Po cóż by pachniał taki fioleto-owy dzwonka kielich, skoro pierwszy lepszy chłopak w złości albo dziewczynka do bukietu może go zerwać, i to miałby być już koniec wszystkiemu!

Nik posłyszał szelest ponad głową. Spojrzał i uradował się: mała, brązowa wiewióreczka o oczkach okrągłych i latających wszczepiła się łapkami w gałąź i przyglądała ciekawie czemuś w dole. Nik zataił dech. Tymczasem wiewiórka jak piłka skoczyła wyżej, długi, puszysty jej ogonek tylko mignął wśród liści; znowu siedziała chwilkę, aż z szybkością zawrotną skacząc z gałęzi na gałąź, zniknęła wesoła, zręczna, milutka.

Nik powstał spokojny i z mocnym przekonaniem, że wiewiórki, motyle, trawy, kwiaty i w ogóle wszystko ma duszę.

ROZDZIAŁ V. MONSIEUR MARTIN

Z rana chłopcy pobili się przy myciu. Olek chciał być pierwszy i Nik także, skończyło się na tym, że Olek pochylonego Nika wepchnął do wanny. Właściwie nie skończyło się na tym, a od tego zaczęło, Nik bowiem, chcąc się zemścić, zatkał palcami kran i oblał Olka od stóp do głów, no, słowem zrobił z niego rynnę podczas deszczu. W czasie tego wszystkiego Tom najspokojniej nakładał dzienną koszulę, a przejął się ogromnym ruchem dopiero w chwili, gdy Olek łokciem pchnął go w brodę, broniąc się od strumienia wody, który pryskał mu w twarz. Tom obraził się w pierwszej chwili, a potem beknął.

— Zdaje mi się, Tom, że z ciebie nigdy nie będzie porządny mężczyzna — zauważył z pogardą Nik, wyłaząc z wanny i wycierając ręcznikiem zmoczoną koszulę.

— Ząb mi wybił! Jestem pewien, że mi wybił kilka przednich zębów...

— Och, babo wielkanocna! Nic ci nie wybił i możesz ubierać się spokojnie! — i dwaj starsi bracia przeszli wyniośle do sypialni w przykładowej zgodzie, zdaje mi się jednak, że nie bardzo umyć.

Zaledwie skończyli się ubierać, wbiegła Marta, wołając:

— Jedzie, jedzie, zobaczmy przez okno — i dopadłszy, uchyliła firanki. Nik skoczył także, Olek jednak nie dał się poruszyć, odwrócił się plecami do okna i starannie dociągał pasek.

— Nie jest jeszcze zupełnie taki stary — objaśniała Marta — ma cienkie nogi i bardzo jest podobny do bociana. Nosi kamasze. Chodźże², Olek.

— Nie jestem ciekawy — odburknął chłopiec — napatrzę mu się i tak dosyć! Aż za dużo!

Usłyszawszy to, Nik spostrzegł się, że przecież on także miał okazać panu Martin najwyższą obojętność, zatem nie wypada mu być ciekawym, odszedł więc od okna i rzekł:

²*chodźże* — konstrukcja z partykułą wzmacniającą -że. [przypis edytorski]

— Naturalnie jest obrzydliwy.

Potem wszyscy ruszyli na śniadanie. Olek starał się mieć wyraz twarzy uprzejmy, ale wysoce obojętny. Nik nadał się jak indyk, Marta szeroko otworzyła oczy i tylko Tom miał minę „na co dzień”, bo pan Martin mało go bardzo obchodził.

Wszystko to jednak chybiło celu, w sali jadalnej bowiem nie było nikogo prócz Jana i małego kozaczka Hawryłka, który miał uszy zawsze równie czerwone jak lampasy hajdawców i lubił namiętnie wylizywać spodki z konfitur.

Nik skoczył do swego miejsca i zaproponował:

— Olek, jedzmy prędko i umykajmy.

Olek jednak zachował godność w tej ciężkiej okoliczności życiowej. Siadł spokojnie i pił swoją kawę z taką miną, jakby naprzeciw niego siedział *monsieur* Martin we własnej osobie.

Jakoż w parę minut weszła matka, za nią jakiś pan, dość wysoki, chudy i przygarbiony, i ojciec. Dzieci powstały z miejsc i odbyła się

prezentacja oraz powitanie. Matka była tak jak zawsze wesoła, spokojna i miła, ojciec zaś bardziej niż zwykle ożywiony. Posadził starego pana obok siebie, przysuwał mu bułki, miód, masło, dolewał śmietanki.

W Olku i Niku wzbierała głucha złość. Przyjechał taki sobie stary pan, prawie nie zwrócił na nich uwagi, zawładnął ojcem, matką i w dodatku będzie za nimi chodził i wszystkiego zabraniał!

Monsieur Martin zaś mówił z ojcem o dawnych czasach, coś przypominał i opowiadał; ojciec coraz to śmiał się serdecznie, a matka słuchała, cała pogrążona i patrzyła na ojca rozrzewnionym, gorącym wzrokiem.

— A pamiętasz, *mon cher*, jakieście z Henrykiem ruszyli w podróż na księżyc? — mówił *monsieur* Martin.

— Pamiętam, naturalnie! Byliśmy mniejsi od Toma — zaśmiał się ojciec. — W nocy, w koszulach! Ale wzięliśmy suchary na drogę. O! świetnieśmy się zaopatrzyli, z wielką zapobiegliwością! Henryk miał w chusteczce nie-

odzewny scyzoryk, jabłka, cukier, a ja suchary i sznur na wypadek trudności przy włożeniu na księżyc. Tak, Marto — zwrócił się do matki — złapał nas za bramą stróż i odprowadził. Och, cóż to był za wstyd.

— Jakże byłem szczęśliwy, że na tym się skończyło, że nie zaszłście w tę noc ciemną gdzieś za wieś — rzekł *monsieur* Martin i patrzył na ojca jak na kogoś bardzo drogiego.

Ojciec, matka, *monsieur* Martin śmieli się, rozmawiali, przypominali. Czuć było, że im jest doskonale ze sobą, że przenieśli się do jakiejś nieznannej dzieciom przeszłości, z której nie mają ochoty powracać. Nik pieniał się wewnętrznie, a Olek złowrogo spoglądał na przybysza. Bo cóż z tego, że ojciec był niegdyś mały i płatał figle? Chłopcy wiedzieli o tym i bez pana Martin. Nieraz słuchali opowiadań o tych czasach i rzeczach! Bo to nawet nie ma sensu, aby ten stary pan, zupełnie obcy, znał ich ojca dawniej niż oni sami, rodzone dzieci! I Nik, i Olek czuli się głęboko pokrzywdzeni.

Tymczasem śniadanie się skończyło i ojciec polecił chłopcom oprowadzić gościa, profesora, po parku, by mógł zobaczyć wszystko, co się od tamtych dawnych lat zmieniło.

Nadęci jak dwaj mandaryni i bardzo godni, poszli chłopcy, milcząc, obok pana Martin aleją wiodącą ponad stawy.

Pan Martin zresztą wcale się o nich nie pytał i zdawał się nie spostrzegać kroczących obok niego utajonych wrogów.

W jakiejś chwili, gdy doszli już do jeziora i zapatrzyli się w lustrzaną jego tafłę, rzekł z uśmiechem, który wyblakłe jego usta opromieniał dziwnym urokiem:

— Wiecie, chłopcy, tu dawniej był most — Olek udał, że nie słyszy, ale Nika to zaciekawilo:

— Jak to? — zapytał — w tym miejscu takim szerokim był most? Musiał być strasznie długi?

— Był bardzo długi — powiedział *mon-sieur* Martin — i bardzo ładny, można nim by-

ło przechodzić na wyspę i mniej się używało łodzi niż teraz.

— To nie było przyjemnie — rzekł krytycznie Nik.

— No tak — potwierdził profesor — cóż bowiem jest przyjemniejszego od pływania po jeziorze, prawda Niku?

Nik zdziwił się przyjemnie, że pan Martin zapamiętał jego imię, ale nic nie odpowiedział, natomiast Olek, który chciał koniecznie protestować, rzekł:

— Owszem, jest wiele rzeczy miłszych, na przykład konna jazda!

Pan Martin nie podniósł dyskusji, zgodnie potwierdził zdanie Olka, co jeszcze bardziej zirytowało przygotowanego do walki chłopca.

— Kiedyż to tu był ten most? Nigdy o nim nie słyszałem — rzekł sceptycznie.

— Och, bardzo dawno, ja już go nawet nie widziałem. Dziadek wasz opowiadał mi o nim. Stawiał go wasz prapradziad, ten sam, który postawił wasz dom. Jak to zapewne wiecie, stał jeszcze wtenczas zameczek nazywany „ślepy”,

gdyż wszystkie jego mury zewnętrzne nie miały okien, które wychodziły jedynie na wewnętrzny dziedziniec. Z tego też powodu zamek był tak ponury i ciemny, iż przodek wasz, bardzo z natury wesół, nie mógł w nim wytrzymać i wybudował obecny dwór, znacznie mniejszy naturalnie i skromniejszy od zameczku, ale za to jasny, o dużych oknach i odkrytych tarasach. Zapewne musieliście dużo o tym dziadku słyszeć. Był bardzo mądrym i dzielnym człowiekiem. Służył w Wielkiej Armii³, był w Egipcie, Hiszpanii... znacie go, prawda!

— Znamy — rzekł krótko Olek, ale było mu przyjemnie, że i *monsieur* Martin tak dobrze zna dzieje ulubionego pradziada i że mówi o nim ze czcią i szacunkiem.

— A z zameczkiem co się stało? — zapytał Nik.

— Jak to, nie wiesz! — wykrzyknął z oburzeniem Olek.

— Nie wiem. Ale czego krzyczysz? — odparł zarumieniony Nik.

³*Wielka Armia* — armia Napoleona Bonaparte. [przypis edytorski]

— Zameczek spalili kozacy⁴ po 63-cim roku⁵. Dwór tylko cudem ocalał. Nik nie może jeszcze wszystkiego wiedzieć, ma czas — rzekł p. Martin.

Szli tak długo brzegiem jeziora, a stary pan coraz to nowe rzeczy opowiadał, głosem cichym i pełnym zadumy. Czasem mówił tak, jakby wcale nie do chłopców, jakby zapominał, że idą obok niego. Nik musiał przyznać w głębi duszy, że miły mu był ten przyszły tyran z siwą głową. Toteż gdy powróciwszy do domu, zostali się w przedpokoju, rzekł do Olka:

— Olek, jak ty myślisz, co?

— No, cóż mam myśleć! Taki sobie!

— Ależ tak! — wykrzyknął Nik z entuzjazmem. Po chwili dodał:

— Wiesz i to nawet nic nie szkodzi, że znał papę wcześniej niż my, bo wcześniej znali go także i Gabro, i Brygida, i ciocia Halszka, i ksiądz proboszcz. Mnóstwo zresztą osób!

⁴kozacy — tu: oddział lekkiej jazdy w wojsku rosyjskim. [przypis edytorski]

⁵po 63-cim roku — tj. po powstaniu styczniowym. [przypis edytorski]

ROZDZIAŁ VI. NA JEZIORZE

Któregoś dnia, wracając z ojcem z folwarku, dokąd jeździł konno, zobaczył Olek przed stajnią śliczny, czarny brek zaprzężony w czwórkę kasztanów.

— Oho! przyjechała ciocia Halszka — powiedział sobie, trzeba przyznać, bez wielkiej radości.

Ciocia Halszka przyjeżdżała dość często ze swymi dziećmi: Renią i Alim. Olek kochał śliczną, pachnącą, wytworną ciocię Halę, ale do jej dzieci nie czuł szczególnego nabożeństwa. Renia i Ali byli także śliczni, pachnący, wytworni. Renia miała długie, czarne loki, ogromne szafirowe oczy, była jak śnieg biała i zawsze prześlicznie ubrana. O rok była od Olka starsza. Olek czuł się zawsze przy niej niezgrabny, brzydki, niezdarny i czarny jak Murzyn. Nie śmiał jej pocałować, by nie zostawić czarnej plamy na białym jej policzku, nie śmiał jej dotknąć, by czegoś nie rozerwać; cała jego rycerska odwa-

ga i buta ginęły wobec tej delikatnej i dumnej dziewczynki.

Nie wiedział nigdy, jak ją zabawić, czym zainteresować. Dlatego jej nie lubił, nie cierpiał nawet, właśnie dlatego, że był wobec niej nieśmiałym, głupim i niezgrabnym. Ale Renia zdawała się nie widzieć tego wcale, w ogóle zdawała się nie spostrzegać nigdy Olka. Miała trochę pogardliwe usta i trochę przymknięte oczy.

Ali był w wieku Toma. Miał takie jak Renia podłużne, szafirowe oczy, czarne, delikatne brwi. Był także śliczny, szczupły i wytworny, ale Boże, jakież to był ślamazara! O byle co... bek! Nawet Ania była przy nim wzorem hartu i odwagi. Ali nie umiał szybko biegać, ani skakać, zawsze mu było źle, niewygodnie. Mazał się, kaprysił, krzywił w każdej okoliczności życia. Jedynie Renia miała na niego wpływ i umiała nim rządzić.

Renia i Ali przyjeżdżali zwykle ślicznym, małym koczykiem zaprzężonym w siwe kuce. Mieli swego małego furmana, który siedział z ty-

łu, ze skrzyżowanymi na piersiach rękami. Mieli wszystko, o czym można marzyć. Pokoje ich były umeblowane biało, zasłane białym suk-
nem, mieli ogromną bibliotekę najpiękniejszych
książek, ślicznie oprawnych. Słowem, mieli wszyst-
ko. Olek nie zazdrościł im. To, co sam miał,
wystarczało mu, wolał Nizpol i jego stary, wy-
godny dwór od pałacu w Hołowinie. Cieszył
się z całej duszy, że miał Nika, Martę, Toma
i Anię, zamiast płaksy Alego z całą jego czwór-
ką siwych kuców... Nie lubił ciotecznego ro-
dzeństwa i teraz na widok breku cioci Hali na-
chmurzył się z niezadowolenia. Pamiętał jed-
nak dobrze, jak srogą ongiś otrzymał burę, kie-
dy ojciec przyłapał go uciekającego na widok
gości. Wiedział, że trzeba być gościnnym i uprzej-
mym, ruszył więc do domu. We drzwiach od
ogrodu wpadł na niego rozpedzony Nik.

— Gdzież to ty lecisz? — zapytał podejrz-
liwie Olek.

— Lecę? Nigdzie! — zmieszał się Nik i aż
poczerwieniał.

— Oho! już widzę, że wiejesz przed Renią i Alim! Zobaczyłeś przez okno i w nogi! Chciałbym, żebyś spotkał ojca!

— Ja? nigdzie nie więcej! — obraził się Nik — chciałem cię właśnie zawołać — i zawrócił z godnością do domu.

Wszyscy siedzieli w buduaru mamy. Ciocia Hala i mama na kanapce, ojciec w fotelu. Renia, Ali i Marta stali pod oknem.

— Boże, jak ten Olek rośnie — rzekła ciocia Hala — na pewno przerósł już Renię, a to niełatwo. Réne, chodź tu, zmierzcie się.

Olek zaczerwienił się po uszy, a Renia podeszła, stanęła obok niego i spojrzała obojętnie przez ramię.

— A co, nie mówiłam? — zaśmiała się ciocia. — Jeśli nie przerósł, to przerośnie lada dzień. Są już zupełnie równi, a w roku zeszłym sięgał jej po brwi. Trzymaj się Réne, pamiętaj, żeś starsza o rok.

— Ale Olek chłopiec — powiedział ojciec — powinien być większy.

— No, biegajcie po parku — rzekła ciocia — a rozruszajcie Alego, łobuzy.

Dzieci wyszły, milcząc, minęły salon i przez ogromne, oszklone drzwi zeszły na taras, a stamtąd do parku. Olek czuł się pokrzepionym na duchu tym, że przerósł Renię, którą uważał dotychczas za niedoścignioną. Nik ziewał skrycie, a Marta łamała sobie głowę, czym by tu wszystkim dogodzić.

— Kto tam pływa po jeziorze? — zapytała Renia, gdy przed oczyma dzieci rozpostarła się gładka, lśniąca tafla głębokiego jeziora.

— Pewnie Wicek — rzekł Olek, osłaniając dłonią oczy od słońca. — Płynie na tamten brzeg, bo dziś łowią ryby.

— Chodźmy zobaczyć — ożywił się Ali.

— Nie można pójść, bo za daleko, trzeba przepłynąć — objaśnił Nik, a tylko Olkowi wolno płynąć bez starszych po jeziorze.

— Och! nam także wolno — rzekła Renia — jestem starsza od Olka.

— Ale jesteś dziewczyna — odparł Olek — pewnie zresztą nie pytałaś o to papy, bo u was nie ma jeziora.

— Nie ma jeziora, ale jest staw i wolno mi po nim pływać. Biorę więc was wszystkich na swoją odpowiedzialność.

Olek poczuł się dotknięty w głębi duszy, ale bał się ujść za tchórza i dziecko, któremu nic nie wolno, rzekł więc wymijająco:

— Róbcie, jak chcecie.

Renia stała już w łódce i pociągała za sobą mocno zatrwożoną w swym sumieniu Martę, Nik kluczem przyniesionym z budki strażniczej otwierał kłódkę i spuszczał łańcuch, Olek więc pomógł wsiąść Alemu, sam wskoczył za Nikiem i odepchnął łódkę.

— Poczekajcie, poczekajcie na mnie! — dało się słyszeć przeraźliwe wołanie i z alei kasztanowej wypadł zziajany Tom.

— Za późno — rzekła Renia, ale Olek zawrócił i dziobem stuknął w brzeg, aż Ali nosem uderzył w kolana Marty i uronił przy tej oka-

zji kilka łez. Tom migiem wskoczył do łódki i rzekł z zadowoleniem.

— Wasza *mademoiselle* i niania siedzą w altanie, Ania bawiła się w piasku, ale może pobiegła za mną.

— Ci... cho! — syknął Nik — altana tu zaraz za tym bzem, żebyż nie usłyszały!

Umilkli wszyscy i nawet Olek i Nik złożyli wiosła, spuszczać się na bieg wody, byle tylko przepłynąć niepostrzeżenie. Z altany dochodził wesóły głosik Ani, która śpiewała:

Chodzi, wodzi swe «kurczęta»
i o każdym z nich pamięta.

Wkrótce łódka była już daleko. Wypłynięto na środek jeziora.

— Wielka rzecz jezioro! — powiedziała Rena. — Za miesiąc jak co roku jedziemy nad morze i będę pływać, ile mi się tylko spodoba.

— Ale nie sama — rzekł Nik.

— O la la: jeżeli zechcę, to sama. Ali, nie przechylaj się na prawo, patrz, maczasz szarfę w wodzie.

Marta wyłowiała koniec szarfy Alego i rozpostarła na swoich kolanach, by prędzej wyschła. Zrobiła się cisza. Olek i Nik wiosłowali zawzięcie, wysiłkiem mięśni chcąc zgłuszyć wyrzuty sumienia, iż nie słuchają rozkazów ojca. Marta niespokojnie oglądała się na brzeg. Ali trwożnie spoglądał w głębinę. Tylko Rena i Tom zachowali równowagę ducha. Tom, który siedział na dziobie, zatopił obie ręce w wodzie i cieszył się, że fale przepływają mu między palcami, Rena zaś położyła się na wznak na dnie łódki i patrzyła w niebo.

Przepłynięto na ukos jezioro i łódka dobiła do przeciwległego brzegu. Bardzo było przyjemnie; przyglądano się z zachwytem wielkim rybom, szczupakom, linom, karpom. Ciskały się w ogromnych kadziach i tłukły ogonami, wychlapując strugi wody na ciekawych, którzy za blisko podeszli. Ale najprzyjemniejszą była chwila, w której zmoczeni rybacy wyciągali na brzeg ciężką sieć. Z mułu i gałęzi, których była pełna, czarnymi rękami wyłapywali rzucające się, przerażone ryby, wazyli je w rękach

zadowoleni z połowu i rzucali do kadzi. Nad wszystkim chodził czuwając Iwan, który z dawien dawna sprawował w Nizpolu urząd głównego rybaka i dozorca.

Nik sam wyjął z sieci sporego, oślizgłego szczupaka, ale ten chlasnął go po twarzy ogniem, wysliznął się ze słabych jeszcze rąk chłopaka i buchnął z powrotem w życiodajne jezioro. Wszystkie dzieci i rybacy wybuchnęli śmiechem, a Nik osłupiał na długą chwilę i stał, mrugając oczami pełnymi wody.

Długo przyglądano się temu wszystkiemu, ale w końcu trzeba było pomyśleć o odwrocie. Rena i Ali pobrudzili sobie trochę białe buciuki, ale w ogóle byli zadowoleni i postanowili częściej przyjeżdżać na połów.

— No tak, muszę przyznać, że to bardzo miło — rzekła Renia, kiedy wracali do łódki — bardzo mi się tu podobało i ten wasz Iwan dosyć miły! Tylko Wicek to dopiero idiota! — dodała obrażona, bo Wicek śmiał zwrócić jej uwagę, że nadeptuje na małą rybkę.

— Nieprawda! — oburzył się Tom — Wincenty jest bardzo porządny i miły! Robi nam śliczne wiatraczki z drzewa, wózki i wszystko, co chcemy!

— Może on robi tam wiatraczki i wszystko co chcecie, ale jest zuchwały i głupi — uparła się Rena.

Tymczasem Ali ze swej strony pokłócił się z Tomem, Tom bowiem w zapale oburzenia chybotął łódką w sposób gwałtowny. Ali zaczął piszczeć, a Tom nazwał go Ali-Babą. Rena ujęła się za brata:

— Tom — rzekła — jesteś niegrzeczny i jeszcze przezywasz!

— No, bo czyż on nie Ali! — zwrócił się Tom do rodzeństwa — jest Ali! A że baba, to także każdy chętnie przyzna!

Zagrażała kłótnia, na szczęście Marta zawołała:

— Popatrzcie tylko, jakie śliczne irysy na wyspie!

W istocie nad samym brzegiem na wyspie rosły wysokie, sztywne irysy fioletowe, żółte i odbijały się w wodzie.

— Mój Olku, mój kochany — zawołała Renia — podpłyn do wyspy, narwiemy sobie trochę irysów.

Olek, któremu pochlebiło, że Rena go o coś prosi, pchnął mocno łódź i w kilka chwil byli już pod cieniem rozłożystych, bujnych, pochylonych drzew okalających wyspę. Jakże miło i rozkosznie było płynąć w chłodnym ich cieniu, odsuwając tylko gałązki i liście znad głowy.

Kiedy już dotarli do wyspy, Renia wyciągnęła obie ręce, pochwyciła kilka irysów naraz i z całych sił pociągnęła ku sobie właśnie w chwili, gdy Tom ze swego końca robił to samo, i... nie wiadomo zupełnie, kiedy to się stało, nikt nie miał czasu krzyknąć, ani nawet mrugnąć, kiedy już łódka przewrócona do góry dnem odpływała powoli, a wszystkie dzieci były w wodzie.

Całe szczęście, że był to brzeg, gdzie tylko po ramiona było wody, całe szczęście, że mnóstwo gałęzi i korzeni zwieszało się w wodę i że wszystkie dzieci chwytające za nie wydrapały się na ziemię, krztusząc się i plując, podrapane i przemoknięte do nitki,

Wszystkie... z wyjątkiem Alego! Kiedy więc oprzytomniały nieco, wypluły muł i wodę z ust i otarły zalane oczy, rozejrzały się między sobą i jednym głosem krzyknęły:

— Ali!... gdzie Ali!

Alego nie było! Woda spokojna już była u brzegu, a łódka przewrócona dnem do góry kołysała się w pewnym oddaleniu.

— Jezus, Maria, ratunku, ratunku — zaczęły krzyczeć z całych sił i szlochać dzieci. Olek, Nik i Rena, nie namyślając się, wskoczyli do wody i nieprzytomni z trwogi, drżący, w niepokoju zanurzali się raz po raz, obmacując rękami dno, szukając między splątanymi korzeniami drzew. Pozostali na brzegu Marta i Tom podnieśli wrzask i lament nie do opisania, bo zaiste rozpacz ich i trwoga nie miały granic.

Wtem spoza zakrętu wyspy wysunęła się ku dzieciom mała rybacka łódka, a w niej Wicek z przerażoną od posłyszanych krzyków twarzą. Wszystkie ręce wyciągnęły się ku niemu z rozpaczą.

— Wicku — wyszłochała Marta — nie ma Alego! Wpadł w wodę razem z nami i nie wypłynął, Boże!... Boże! — i rzuciwszy się na kolana, poczęła odmawiać pacierz.

W jednej sekundzie Wicek już był przy dzieciach.

— Tu wypadł z łódki! — krzyknął.

— Tu... w tym miejscu... wywróciliśmy się — wyszłochał Tom.

Wicek znikł pod wodą, chwilę nie było go widać, a gdy ukazał się, dzieci w niepomiernym zdumieniu ujrzały, że co sił w rękach płynie za łódką.

— Wicku — wykrzyknął Olek — tu Alego trzeba ratować! Co tam łódka! Wicku, co ty robisz! — i zamilkł, bo oto Wicek podpłynął do wywróconej łódki i znikł pod nią.

Straszna zapanowała cisza, a potem nagle ze wszystkich piersi wydarł się okrzyk radości! Na powierzchni wody ukazał się znowu Wicek, a w rękach jego omdlałe ciało Alego. Jeszcze parę chwil, a Wicek wyskoczył na brzeg i zabrał się do ratunku. Przerzucił sobie Alego przez kolano, twarzą do ziemi i potrząsnął nim z lekka. Dzieci milcząc, blade i drżące z trwogi, widziały jak z ust, z oczu, nosa Alego wylewały się potoki wody. Potem Wicek położył go na trawie, twarzą do góry, zawoławszy Olka do pomocy, ściągnął z Alego ubranie i szybko, a równomiernie począł podnosić i opuszczać chude, prawie błękitne rączki chłopca, który leżał bezwładnie z zamkniętymi oczyma.

— Rozcierajcie go, rozcierajcie! — krzyknął na dzieci, które ocknęły się, skoczyły i mokrymi rękami zaczęły z całych sił rozcierać skostniałe ciało chłopczyny.

Trwało to przerażająco długo, dzieciom łzy spływały po policzkach, a Tom wykrzyknął z rozpaczą:

— On już przecież nie żyje! — ale właśnie w tejże chwili Ali otworzył oczy.

Wtedy nastąpiła taka radość, że niepodobna jej opisać: Tom zaczął krzyczeć w niemożliwy sposób i tańczyć taniec dzikich ludzi. Marta rozplakała się jeszcze więcej, ale z radości, Nik nie mógł słowa przemówić, a Rena... w nieopisaney radości skoczyła Wickowi na szyję i ucałowała go.

Powoli Alemu wracała przytomność, roz-tarty i ogrzany słońcem zaróżowił się i długo patrzył zdziwiony na śmiejące się i skaczące ze szczęścia dzieci, całe mokre i oblepione własnymi ubraniami, z włosami przylizanymi na głowach i ramionach, ociekające i uszczęśliwione.

Był to widok arcykomiczny, toteż Ali, oprzytomniawszy zupełnie, roześmiał się serdecznie, Wicek również patrzył na to wszystko, śmiejąc się, aż mu łzy kapały po i tak już mokrej twarzy. Nie tracił jednak czasu; polecivszy dzieciom, by wyszły na słońce i suszyły się w jego promieniach, sam wskoczył do swej łódeczki

i popłynął w pogoń za łodzią, która kołysała się na powierzchni wody, sprowadził ją na wyspę, przewrócił, wylał wodę, wsadził dzieci i ruszono do domu. Olek i Nik pomagali mu żwawo. Płynąc, wszyscy uśmiechali się pełni radości i jechali gotowi przyjąć z pokorą największą bodaj karę za popełnione nieposłuszeństwo, bo cóż znaczyła kara wobec tego, że Ali był z nimi — zdrów i cały.

Gdy po powrocie dzieci podobne do oskubanego stadka gęsi stanęły przed rodzicami i niepewnymi głosami opowiedziały, co zaszło — powstał zamęt! Ciocia Halszka zemdląła, matka pobladła jak płótno i pochwyciła Alego w ramiona, *mademoiselle* Lucette zaczęła krzyczeć i wylewać potoki łez, pan Martin oglądał każde z dzieci po kolei, a ojciec bardzo chciał się gniewać, ale właściwie nie mógł. Zanadto się bowiem przestraszył i zanadto był Bogu wdzięczny za cudowne Alego ocalenie.

Wicek z początku został obdarowany pięknym ubraniem samego pana i suto nakarmiony

frykasami, które klucznica obficie, aczkolwiek niechętnie zastawiła w kredensie.

Potem któregoś dnia przyjechali rodzice Alego i oznajmili rodzinie Wicka, iż ofiarują kawał ziemi z ładną zagrodą na przyszłe gospodarstwo dla zbawcy ich syna.

Do końca życia Wicek opowiadał szczegółowo o tym zdarzeniu, kończąc zawsze tymi słowy:

— Dostałem od jaśnie pana ubranie w kratkę, całkiem nowe i zielony krawat.

Życzliwym pokazywał niekiedy ów krawat.

ROZDZIAŁ VII. JULCIA

Ania dostała na imieniny mnóstwo ciekawych i pięknych rzeczy. Więc przede wszystkim niebywałych rozmiarów pudło łakoci, którymi obdarowała wspaniałomyślnie swe bliższe otoczenie. Następnie cały stos starych żurnali, z których wycinała lalki, tworząc całe rodziny, klany, narody papierowe. Potem kilka ogromnych ilustrowanych ksiąg, roczników pism, których

ryciny kolorowała Ania z mniejszym powodzeniem niż zapalem. Poza tym szpica Pusia z różową kokardą i piłkę.

W końcu dostała trzy lalki; pierrota, kolombinę i Julcię.

Pierrot i kolombina zyskali ogólne uznanie. Nawet Olek, obracając w rękach śliczną, zgrabną lalkę o olbrzymich oczach i giętkich członkach, raczył zauważyć, że: „ten pierrot to wcale ładny”, a Nik roztkliwił się nad białą, lekką jak puch kolombiną. Ale Julcia spotkała się z niechęcią i ostrą krytyką.

— Hapka jakaś czy Pryśka — rzucił pogardliwie Olek, wychodząc z dziecinnego pokoju.

— Nawet trochę podobna do Jewdochy — dodał Nik, idąc w ślad za bratem.

Tom poddał Julcię ściślejszemu badaniu.

— Dlaczego nazwałaś ją Julcią? Takie imię jak gdyby się masło roztopiło na słońcu! Fe! Obrzydliwość.

— Niania mi poradziła — rzekła srodze stroskana niepowodzeniem córki Ania.

— Z czegoż ona jest zrobiona?

— Właśnie — ożywiła się Ania nadzieją poprawienia reputacji swego dziecięcia — właśnie! Niania powiedziała, że nigdy się nie *stłuce*, bo ciało ma wypchane *trlocinami*, a głowę *blasaną*!

— Ech! — rzekł powątpiewająco Tom.

— Na pewno — krzyknęła z mocą Ania — zapytaj niani.

— Gdyby koń na nią nadeptał, stłukłaby się — zawyrokował Tom, pukając palcem w rumiany policzek Julci, która zdawała się z tego zadowolona i szczyrzyła białe malowane ząbki.

Ania zadumała się, szukając w myśli sposobu uchronienia zagrożonej córy przed tak straszną ewentualnością. Tom zaś, skonstatowawszy, iż pod różową, atlasową sukienką znajdują się kremowe, twardo wypchane członki, rzucił nie-
tłukącą się Julcię na dywan i poszedł w ślady starszych braci.

Ania pozostała sama w swoim królestwie, ze swymi poddanymi. Pierwszym jej porywem był wybuch czułości ku Julci. Schwyciła wzgardzoną córkę w ramiona, utuliła ją serdecznie,

pocieszając i pieszcząc. Potem zastanowiła się, czy rzeczywiście koń by ją rozdeptał. Ażeby się przekonać, położyła Julcię na dywanie i siadła na niej — Julcia wyszła z tej próby cało! Wówczas Ania jedną nogą stanęła jej na nosie, przy tej sposobności przewróciła się na podłogę, ale Julcia i to zniosła mężnie.

„Ba! — pomyślała Ania. — I koń by jej nie rozdeptał!” — i postanowiła poddać Julcię ostatecznej próbie.

Cicho, by nie zwrócić uwagi szyjącej pod oknem niani, wysunęła się z dziecinnego pokoju na korytarz, przebiegła go pędem i wpadła do sali jadalnej, gdzie w owej poobiedniej porze cicho było i pusto. Tu krokiem pewnym podeszła do gdańskiej szafy, bez wahania wzięła Julcię za nogi i z całych sił głową nieszczęsnej ofiary uderzyła w kant bufetu.

Nic nie pękło, ani trzasnęło. Ania z dumą spojrzała w twarz swego dziecięcia i... zdrętwiała.

Pośrodku różowej, stale uśmiechniętej twarzyczki zamiast zadartego nosa ujrzała... małą, błyszczącą, obłupaną z farby wklęsłość.

Czerwona jak burak z irytacji i strasznie rozgoryczona stała Ania przed bufetem, nie śmiejąc ruszyć się z miejsca. Julcia zrobiła jej straszny zawód, skompromitowała ją, pokryła wstydem!

Ania postanowiła ukryć tę hańbę głęboko. Wtłoczyła Julcię pod fartuszek i cicho, na palcach wróciła do swego pokoju.

Dalsze losy Julci były również smutne! Odgrodzona od świata w ciemności i ciszy szafki z zabawkami musiała pędzić pokutnicze życie. Nikt nie miał nad nią litości. Pierrot, ile razy spojrział na jej błyszczący, wytłuczony nos, wybuchał szyderczym śmiechem. Kolombina odwracała się z pogardą. Biały niedźwiedź, trochę już brudny, ale zawsze jednak królewsko wspaniały, poradził jej uprzejmie, żeby się powiesiła, bo niczego już od życia nie powinna się spodziewać. Piłka, ile razy mogła, wskakiwała

jej lekceważąco na głowę, a dwunastu żołnierzy ołowianych nazwało ją starą czarownicą.

Mimo to — trwała.

W bardzo krótkim czasie pierrot, zmęczony sztukami i błazeństwem swego życia, stracił jeden po drugim wszystkie członki i umarł w końcu, zawsze ironiczny i złośliwy. Kolombina, tańcząc niestrudzenie, złamała obie nogi, ale nie pozwoliła umieścić się obok Julci, w składzie zepsutych zabawek, wołała dumnie pójść na śmietnik.

Niedźwiedź z wydartym ogonem i obciętych uszami wywędrował na strych wraz ze starszą, gdy niania robiła miesięczny porządek, a piłka, która z nadmiaru pustoty i dumy pękła ściśnięta między drzwiami, została przez Toma pokrajana na pasy i użyta do jakichś wyższych celów.

A Julcia wciąż trwała.

Wszystko zmieniło się koło niej, poruszane psotnymi rękami Ani. Szafka zabawek napelniała się i wypróżniała kolejno. Co raz to nowi

współtowarzysze okazywali Julci swoją pogardę.

W końcu życie zbrzydło jej tak dalece, że w chwili zamykania szafki, chytrze wsunęła głowę między drzwiczki, by zginąć śmiercią samobójczą. I w tej właśnie pozycji ujrzał ją Tom, chwilowo bawiący w gościnie u Ani.

— Cóż to za potwór? — zapytał — to zdaje się ta twoja cudna Julcia.

Ania zaczerwieniła się aż po włosy.

— Nie bawię się nią już zupełnie! — rzekła, starając się wcisnąć kompromitującą Julcię z powrotem do szafki.

Ale Tom nie dał się zbyć, wyciągnął beznosą desperatkę na światło dzienne i krytycznie patrzył na jej rozplaszczoną twarz.

— Rzeczywiście, nie tłucze się — rzekł po chwili — skoro nawet ty jej nie stłukłaś. Ale ładnieś ją urządziła, istne czupiradło!

— To twoja wina — wykrzyknęła Ania ze złością — powiedziałaś, że koń by ją rozdeptał, więc *naturlalnie* chciałam *sprłobować*!

Tom smutnie pokiwał głową.

— Cóż z nią teraz zrobisz? — zapytał.

Ani dotychczas nie przychodziło na myśl, że trzeba się zastanowić nad przyszłością córki, teraz wszelako konieczność ta przedstawiła się jej w całej rozciągłości.

— Mogłabym *podarlować* ją Tekli — rzekła, myśląc o dwuletniej córeczce gospodyni Jewdochy.

Tom pokręcił głową.

— Tekla ma już ze dwadzieścia zepsutych lalek — odparł — lepiej...

Ale w tejże chwili za oknem rozległo się wołanie Nika. Tom skoczył co prędzej i Ania nie dowiedziała się, co byłoby lepiej zrobić z Julcią.

Wobec tego włożyła ją z powrotem do szafki, a kiedy przyszedł miesięczny przegląd gratów, wcisnęła ją chytrze a podstępnie na dno koszyka przeznaczonego do przeniesienia na strych. Niania bowiem, złudzona świeżością różowej, atlasowej sukienki, wciąż jeszcze uważała Julcię za godną szafki z zabawkami.

Tym razem jednak udało się. Julcia wyjechała z dziecinnego pokoju, ku wielkiej radości Ani.

Ale to nie był jeszcze koniec jej smutnego żywota.

ROZDZIAŁ VIII. O ŻAŁOSNYM KOŃCU JULCI, O KONFITURACH I JAK Z PANNY DZIUDZI ZROBIŁA SIĘ FONTANNA

— Ale prawda, Gabro, że Mirza ma lepsze nogi od Orłęcia?

Gabriel, który siedział na ławce przed stajnią z fajką w zębach i reperując zerwany popręg, patrzył krytycznie na Michałka, siodłającego dla paniczów konie, złożył na chwilę ręce na kolanach i rzekł z namysłem:

— Żeby tak powiedzieć koniecznie, że lepsze... to nie. Młodszy jest i tyle. Ale Orłę to taki zawsze po Sulamicie, to i dobry musi być.

Ale Nik się upierał.

— Ma lepszego kłusa, a przeszkody to bierze tak, że wprost rozkosz!

— A Orłę to może nie? Co? — spytał Olek głosem niby obojętnym, ale w którym brzmiała groźba.

Nik spostrzegł, że lepiej nie nalegać, więc wskoczył lekko na swego Mirzę i klepiąc go po ślicznej, wygiętej szyi, rzekł do Gabra.

— Ta nasza nowa czwórka kasztanów to będzie najładniejsza na całą okolicę?

— Phii... prawy, dyszlowy to całkiem jakby niedobrany! Ja już i mówił jaśnie panu, ale jaśnie pan to aby ze swojej stadniny, a już dobrze! Bo to i jakby jaśniejszy trochę, i noga zadnia prawa biała! Ja to już i nawet upatrzył w Hołowinie będzie taki trzylatek, klacz po Kasztelance, co to przecież od nas poszła do Hołowina. To tak by nam zamienić, bo jakby ułał do naszych podejdzie!

— Mówił Gabro papie?

— Mówił. Ale jaśnie pan to nic do końskich spraw niezdatny, nie to co jaśnie pani! A to powiada, mieniać nie lubi i żeby wszystko,

powiada, było ze swego stada. Toż Kasztelanka od nas do Hołowina poszła, to jakby własnego chowu źrebak po niej.

Ale Nik, pod którym kręcił się niespokojnie Mirza, spojrział niecierpliwie na Olka, Olek systematycznie sprawdzał, czy popręgi dociągnięte, przewracał strzemiona, klepał Orłę po szyi i wreszcie wskoczył sprężyście, a umieściwszy się w siodle, poprawił na głowie czapkę.

Ruszyli.

Minąwszy dziedziniec, zatrzymali się u drzwi kredensowych i posłali Hawryłka do pana Martin z zapytaniem, do której wolno im zostać na spacerze. Czekaając, naradzali się.

— Pojedziemy do lasu — rzekł Nik.

— Właśnie! Żeby nam konie muchy zjadły! A zresztą trzeba pojechać do żniw. Kończą dzisiaj pszenicę na fermie i pewnie papa tam będzie. Trzymajże Mirzę krócej i nie pakuj się na mnie! — dodał, gdy kręcący się pod Nikiem Mirza zbyt blisko natarł na Orłę.

Hawryłko powrócił z odpowiedzią pana Martin i właśnie mieli ruszać, gdy z korytarza wy-

padł zziębnięty Tom z twarzą wyrażającą niepo-
mierne oburzenie.

— Jak to? — zawołał, nie zdążywszy jesz-
cze odsapnąć — Olku! Obiecałeś przecie, że
pojadę dzisiaj z wami konno za to, że oddałem
ci tego dudka, co go Sławian dla mnie złapał,
a teraz jedzicie sami!

Olek się stropił, zapomniał bowiem zupeł-
nie o danej obietnicy.

— Bo dziś jedziemy bardzo daleko — spró-
bował się wykręcić.

— To i ja mogę jechać daleko — wybuch-
nął Tom — pójdę i każę osiodłać muckę!

— Och, już za późno — rzekł Olek i obaj
z Nikiem pomknęli ku bramie.

— Na drugi raz będę wiedział, jak to pan
Aleksander dotrzymuje obietnic! — krzyknął
za nimi groźnie Tom, ale pomimo tej obelgi
został na schodach wielce zawiedziony i smut-
ny.

Poczuł się tak wykolejonym, że już wcale
nie miał ochoty powracać do przerwanej zaba-
wy. Zawrócił w głąb korytarza i szedł z rękami

w kieszeniach, krokiem człowieka, którego los ciężko doświadczył.

Mijając drzwi śpizarni, zauważył, że są uchylone, wszedł więc do środka, błysła mu bowiem myśl o migdałach i rodzynkach.

W śpizarni, na stołku przystawionym do świeżo wymytych półek, stała klucznica i ustawiała jedne przy drugich słoje świeżo usmażonych konfitur, które podawała jej z kosza gospodyni piekarniana, Jewdocha.

Klucznica była to osoba bardzo godna. Tęga, wysoka, nosiła głowę do góry, przemawiała z łaskawą godnością i robiła wrażenie królowej. Żyła w stałej wojnie z całym fraucymerem, a szczególnie z panną Dziudzią, szwaczką, ale dzieci kochała jak swoje, choć łajała przy każdej sposobności.

Nazywała się Czarniecka i zaufanym mówiła czasem, że właśnie z tych Czarnieckich po hetmanie. Z tego powodu dzieci szanowały ją bardzo.

Na wchodzącego do śpizarni Toma pani Czarniecka ani spojrzała; ustawiała dalej ślicznie wy-

myte słoiki podług wielkości i gatunku konfitur. Do usmażonych na początku lata czerwonych truskawek, poziomek, purpurowych wiśniew, zielonkawego agrestu i żółtych porzeczek przybywały teraz okrągłe, złote kule moreli, renklod, rumiane i wesołe rajskie jabłuszka, maliny — duma pani Czarnieckiej, ani trochę nierozgotowane, soczyste i duże, spokojnie pływające w jaskrawym syropie.

Tom stanął i zadarł głowę.

— Może bym spróbował tych konfitur? — zaproponował uprzejmie.

— Do próbowania amatorów nie brak! — rzekła pani Czarniecka i zaraz krzyknęła na Jewdochę. — *Bacz szo myni dajesz! Durna jaka, teper jabloka stawlaju*⁶!

Potem zwróciła się do Toma.

— Kto pomaga, ten próbuje — rzekła — Marta od rana przy robocie to i napróbowowała się niemało!

Tom odparł sucho:

⁶*Bacz szo myni dajesz! Durna jaka, teper jabloka stawlaju* (gw. ukr.) — Uważaj, co mi dajesz! Jaka ty głupia, teraz jabłka stawiam. [przypis edytorski]

— Konfitury to babska robota, co ja tam mogę pomóc! — Ledwo dokończył, a już gorzko pożałował tych lekkomyślnych słów.

— Patrzcie państwo! Babska robota! A jeść nie babska? — rozgniewała się setnie pani Czarniecka. — To i jaśnie pan jak był mały nieraz dla kompanii z panienkami wiśnie „drelował”, a dla Toma to babska sprawa!

Tom spróbował kapitulować, albowiem spostrzegł w wazie na stole parę ślicznie wysmażonych moreli, które nie zmieściły się do słoja. Rzekł więc:

— Jak były wiśnie, to i ja drylowałem, i Nik, i Olek także. Ale malin to się nie dryluje, ani rajskich jabłuszek.

— Ale można przebierać, układać w cukrze... Jest tam robota dla wszystkich!

— To może przyjdę pomagać — zgodził się Tom — tylko zapytam mamę, czy pozwoli.

— A niech tam Tomek weźmie sobie morelę z wazy! — krzyknęła za nim pani Czarniecka z wysokości stołka.

Tom nie kazał się prosić, zawrócił, wziął na łyżkę ogromną morelę i ostrożnie wyszedł na korytarz. Szedł powoli z oczami utkwionymi w łyżkę, na której okrągły owoc chygotał się apetycznie. Tom doszedł do drzwi swego pokoju i właśnie w chwili, gdy podnosił lewą rękę do klamki, prawa mu zadrgała i morela spadła na podłogę.

Tom jęknął. Błyskawicznie rozejrzawszy się, czy nikt nie widzi, podniósł morelę, położył na łyżkę, wszedł do pokoju i siadł na krześle. Zastanowił się głęboko; godzi się czy nie godzi zjeść owoc, który leżał na podłodze? „Podłoga na korytarzu jest bardzo czysta, kamienna i błyszcząca” — pomyślał sobie. Spojrzał na morelę. Uśmiechała się do niego kusząco, okrągła i słodka. Wcale nie znać po niej było upadku. Wobec tego Tom zamknął oczy i szybko włożył owoc w usta. Potem z sumieniem niezbyt spokojnym, ale za to z zadowolonym podniebieniem, postanowił pójść pomagać w ważnym dziele konfiturowym, albowiem bardzo

ceniał sobie swoje słowo i dotrzymywał go zawsze.

Na korytarzu spotkał nianię z Anią i wielkim koszem pełnym rupieci. Ania była tajemnicza...

— Gdzie idziesz? — spytał podejrzliwie Tom.

— Na strych — rzekła Ania i podskoczyła trzy razy, tłukąc trzewiczkami o kamienną posadzkę korytarza.

— Skaczesz jak piłka tenisowa, nic nie masz powagi — zauważył krytycznie Tom, potem dodał łaskawie: — Mogę pójść z tobą — i poszli oboje za nianią, która już była na pierwszym zawrocie schodów.

Chodzenie na strych pełne było uroku i jakiegoś specjalnego dostojeństwa, toteż krocząc po schodach, Tom z zadowoleniem myślał o tym, jak po powrocie braci, będzie mógł im powiedzieć: „Bardzo szczęśliwie, że nie pojechałem z wami, bo byłem na strychu” — i z rozkoszą wyobrażał sobie zawiedzione ich miny.

Strych był duży, wysoki, ciemny; rozciągał się nad całą parterową częścią domu, a miał

wejście z korytarza pierwszego piętra. Kryły się w nim prawdziwe skarby: paki pełne tajemniczych, kurzem okrytych przedmiotów, stare, połamane meble, kosze przedwiecznych, jedwabnych sukien, wielce komicznych robionów z girlandami, krynolin i turniur, jakieś niewiadomego użytku sprzęty, roczniki ilustrowanych pism, stare lampki oliwne, łapki na muchy, paki starych listów i fotografii, połamane albumy.

Wszystko to miało specjalną wartość i urok tajemniczy rzeczy ongiś niezbędnych, codziennych towarzyszy życia kilku pokoleń.

Wszystko miało się ochotę wziąć w rękę, obejrzeć, zachować dla siebie, znieść znowuż na dół, na światło dzienne. Miało się ochotę otworzyć każdą szafę, zajrzeć do każdej paki, w najciemniejszą skrytkę, tam właśnie bowiem kryło się może coś niezmiernie przydatnego.

Najciekawszą jednak była paka zabawek, zawsze się w niej odnalazło coś, co jeszcze nie było „takie złe”; inwalida przed kilku miesiącami zdegradowany, a który poleżawszy czas jakiś na

strychu, dziwnej nabierał wartości. Można go było okurzyć, wyprostować, naprawić i zabrać z powrotem do dziecinnej szafki.

Podczas gdy niania nachylona nad skrzynią składała coś w jej głębi, Tom i Ania krążyli po strychu, każdy na własną rękę.

Tom znalazł w kącie wyłamane i zardzewiałe herby z dawnych, żelaznych sztchet i namyślał się, jaki by z tego można zrobić użytek.

Ania, włączszy na pakę, wyglądała przez okrągłe okno na świat Boży.

— Gołębie chodzą po dachu! Tom, chodź prędko! — wykrzyknęła nagle.

— Cóż to wielkiego, że gołębie chodzą po dachu? — rzekł spokojnie Tom, nieskłonny do entuzjazmu. — Tobie się, Aniu, wydaje, że wszystko jest bardzo ciekawe. Tysiąc razy widziałem gołębie, a dach więcej niż tysiąc pięćset.

Mimo tych uwag, wypowiedzianych tonem starego nudziarza, Tom podszedł do okna i wyrzwał wraz z Anią.

Zobaczył panią Czarniecką, która wracała z wazą i z Jewdochą na werandę śpizarnianą,

gdzie smażyły się konfitury. To mu przypomniało dane słowo. Zeszedł więc z paki i skierował się ku wyjściu, tym bardziej że i niania nawoływała już do odwrotu.

U drzwi wejściowych stała skrzynka ze starymi zabawkami, oko niani padło na nią.

— Patrz no Aniu, jaka to jeszcze porządna lalka — rzekła, wyciągając ze skrzynki jakiś różowy przedmiot.

Ania spojrzała i oczy jej stały się okrągłe i wielkie jak dojrzałe kasztany. Poznała... Julcię.

— Bierz — rzekła niania — i idźcie na przód.

Ania cicho wzięła lalkę za koniec żółtego pantofla i poszła pod pręgierzem szyderczych spojrzeń złośliwego Tomka. Na korytarzu pierwszego piętra niania rzekła do dzieci:

— Idźcie na dół, ja muszę zajrzeć do gościnnych pokojów.

Ale Ania i Tom nie poszli na dół, tylko w ślad za nią. W pierwszym pokoju zatrzymali się oboje. Tom rzekł złośliwie.

— Będiesz miała pyszną zabawę z tą Julcią czarodziejską!

— Nie — powiedziała Ania z rozpaczliwą mocą w głosie — nie będę się nią bawić. Nie będę, nie będę!

— Cóż więc z nią zrobisz? — zapytał Tom.

— Wyzucę ją, wyzucę prec!

— Ale gdzie ją wyrzucisz, biedna Aniu? Przecież wszędzie ją znajdą i odniosą!

Anię nagle olśniła myśl:

— Do studni — rzekła krótko, lecz kategorycznie.

— Fe! Wstydz się topić! — oburzył się Tom; potem się zamyślił.

— Daj no ją tu — rzekł. Wziął Julcię do rąk, zdjął z niej cenną, różową sukienkę, podszedł do umywalni, nachylił się nad wiadrem, wyjął z kieszeni scyzoryk i... nim Ania pojęła, co zamierza uczynić, nagłym ruchem rozciął korpus od szyi aż do pięty.

Ania nawet nie krzyknęła. Stała z drugiej strony wiadra i patrzyła w skupieniu na sypiące się z szelestem trociny. Julcia chudła, chudła,

nikła w oczach. Tom potrząsał nią z lekka, sumiennie wykonując swoje dzieło zniszczenia.

W drugim pokoju rozległy się kroki powracającej niani, wówczas Tom puścił ofiarę, która wpadła do wiadra, tłukąc blaszaną głową o porcelanowe dno.

Idąc za Tomem po schodach, Ania rzekła cicho, z głębokim zadowoleniem:

— Już jest umarta.

— Najpierw nie umarta, a umarnięta — poprawił Tom — a po wtóre zobaczysz, ja ci mówię, że ona jeszcze do ciebie wróci!

Ale Ania nie posłyszała już tych wieszczych słów. Krokiem pełnym płasów, z uczuciem osoby, której ogromny kamień spadł z serca, pobiegła jak lekki biały motyl za nianią.

Tom zaś poczuł konieczną potrzebę dotrzymania swego słowa, toteż puścił się pędem ku śpizarni, by znowu nie zapomnieć po drodze.

Od samego rana Marta smażyła konfitury i suche owoce w cukrze.

To jest właściwie sama nie smażyła, nie dorosła bowiem jeszcze do tak odpowiedzialnego

zadania, ale uczyła się właśnie pod kierunkiem klucznicy.

Konfitury oraz suche owoce smażono w Nizpolu na obszernej werandzie, przylegającej do budynku zwanego spiżarnią. Był to spory, czworokątny dom, składający się z jednej wielkiej izby, w której przechowywały się zapasy mąki, kaszy, grochu, fasoli. Stały tu bańki spirytusu, beczki z naftą, leżały sznury, sieci i siatki, rogoże⁷ i brezenty, płótno szare w sztukach, puste słoje i pęcherze, szkiełka do lamp, zapasowe szyby, gwoździe w paczkach, rolki tapet i wszelakiego rodzaju dobytek.

W spiżarni znajdowały się dość strome schody prowadzące na strychn, gdzie mieszkały gołębie. Pod spiżarnią były piwnice na zimowe owoce i kwaszone ogórki.

Cały ten budynek od podstaw do szczytu, wraz z werandą i dachem, tak był przez dzikie wino zarosły, iż stanowił niby żywy, roślinny czworokąt, zielony latem, czerwono-złoty jesienią, z małym tylko otworem u góry, skąd

⁷rogoża — pleciana mata z sitowia. [przypis edytorski]

wylatywały gołębie, i z wykrojonymi z boku drzwiami werandy.

Weranda była bardzo duża, na całą długość budynku, zacieniona i chłodna. Z jednego jej końca stał piec z blachą, na której smażono konfitury, z drugiej magiel. Środek zajmował długi stół, na którym w danej chwili piętrzyły się stosy owoców obieranych, nakłuwanych, cukrzonych.

Przy tym stole siedziały trzy dziewczyny piekarniane, gospodyni Jewdocha i Wikcia, miała siostrzenica niani. Cały ten sztab niewieści szybko i sprawnie wykonywał wstępne prace i przygotowywał owoce do smażenia.

Nad blachą królowała pani Czarniecka, wspa-
niała, w ogromnym fartuchu i czerwonej chu-
stce na głowie. Spocona od żaru, purpurowa
jak syrop malinowy na miednicy, smażyła, zbierała szumowiny, kręciła miednicami i odsta-
wiała je na stół: złoto-miedziane, duże i ma-
łe, a wszystkie pełne w syropie przezroczystym
pływających owoców, nad którymi natrętnie

brzęcząc, latały setki os i pszczoł zwabionych zapachem słodczy.

Marta, zawinięta w biały fartuch, siedziała na stołeczku, obierane przez dziewczęta gruszki nakłuwała gęsto i wrzucała do hładyszki⁸ z wodą.

Niska furtka werandy była zamknięta, ponad nią sterczała cierpliwie okrągła główka stojącej na schodkach Tekli.

Tekla była to córeczka Jewdochy. Miała okrągłe, niebieskie oczy, okrągły nosek, okrągłą bródkę i dwa lata. Obok niej Ursus oparł o furtkę swój włochaty łeb i wywiesił z gorąca język, którym od czasu do czasu oblizywał policzek obojętnej na ten rodzaj demonstracji uczuciowych Tekli.

— Tekla, poszła precz do piekarni, bo cię osy zjedzą — rozkazała pani Czarniecka.

Tekla śmiertelnie się jej bała, ale widok konfitur był przemożny.

⁸*hładyszka* (z ukr.) — bańka a. wysoki garnek. [przypis edytorski]

Właśnie w tej chwili nadszedł Tom, Ursusa klapnął po łbie, Teklę bezwzględnie odsunął, otworzył furtkę i wkroczył na werandę.

— Cóż mam robić? — zapytał, stając na szeroko rozstawionych nogach, akurat na drodze klucznicy, która właśnie przenosiła rozpaloną miednicę, pełną kipiących gruszek.

— Z drogi! — wrzasnęła pani Czarniecka, potem zbywszy się ciężaru, rzekła pokojowo.

— Niech Tom owiąże się fartuchem, siada przy Marcie i nakłuwa gruszki.

Tom owiązał się fartuchem, zepchnął Martę na sam koniec ławki, usadowił się i nie namyślając się długo, zanurzył obie ręce w hładyszce pełnej pływających w wodzie gruszek.

— Tom! — krzyknęła Marta — masz ręce brudne jak błoto!

— Właśnie się umyją — rzekł niewzruszony Tomek.

— Ależ tu gruszki obrane!

— Phii... — odparł młody kpiarz — jeszcze się będą potem tak długo gotować! — i bez

dłuższego gadania zaczął nakłuwać gruszki drewnianą igłą.

Wcale mu się to nie udawało. Robota owa wydała mu się nieodpowiednią do jego męskiej godności, wykonywał ją niedbale, od niechcenia, nakłuwał byle gdzie, w jednym miejscu robił tysiące zbyt głębokich dziur, w drugim zaś wcale, wygniatał gruszki niepotrzebnie, że wychodziły z jego rąk wcale do gruszek niepodobne! Pani Czarniecka uznała tę robotę za nieudaną i spróbowała wykorzystać zdolności Toma w innym kierunku. Mianowicie poleciła mu obieranie. Ale i ta dziedzina okazała się dla Toma nieodpowiednią. Obierał grubo, krzywo, w końcu zaciął się w palec i zaproponował, że może zdejmować szumowiny z konfitur; ta wszelako propozycja została odrzucona jako nieodpowiadająca kwalifikacjom.

Zrobiono więc ostatnią próbę i Tom został odkomenderowany do przebierania malin i układania ich w cukrze. Gdy jednak po chwili okazało się, że z koszyczka malin zaledwie kilkanaście znalazło się w cukrze, reszta zaś znik-

nęła w sposób zarówno niepowrotny jak niewytłumaczony, pani Czarniecka wpadła w zrozumiały gniew i wygnała Toma ścierką, jak anioł Adama mieczem ognistym z raju.

Tom nie bardzo się zmartwił, tym mniej, iż przez gałęzie wina zobaczył, że mama stoi przed domem i patrzy na polewanie gazonów; wylizał więc jeden spodek z konfitur i wybiegł, energicznie roztrącając na dwie strony wytrwałą Teklę i Ursusa z wywieszonym jęzorem.

Na parterze kwiatowym stał pomocnik ogrodnika Wincenty, a z rury, którą trzymał w rękach, długi strumień srebrzystej wody z sykiem i szelestem opadał na kwiaty barwne i pachnące w zachodzącym słońcu. W słońcu tym, łagodnym a złotym, polane trawniki błyszcząły wesoło, niby posypane deszczem brylantów.

Filipek z Józkiem, ogrodniczek, pompowali przy beczce wodę, a matka stała między klombami purpurowych begonii i patrzyła, taka rozpromieniona, jak gdyby to na nią w ten wieczór upalny spadał ów ożywczy, dobroczynny deszcz.

Z daleka przy bramie Tom zobaczył wjeżdżających stępa braci, postanowił im zaimponować; rzucił się tedy ku matce i chwyciwszy ją za kolana, zaczął całować w spódnicę, błagając.

— Mamo moja złocista, moja morelowa, proszę mi pozwolić polewać.

— Ależ i owszem, jeśli tylko udźwigniesz węża. Wincenty daj no paniczowi rurę.

Tom w obie pięści ujął gardziel stalowego węża. Pierwszy snop wody poszedł w ziemię, drugi w niebo, ale trzeci trafił już w kwiaty.

Tom, jednym okiem patrząc na zbliżających się braci, drugim pilnie baczył na kierunek strumienia.

Spod kolumn balkonu wyszła szwaczka, panna Dziudzia i szła spokojnie ku mamie po klucze od bieliźniarki. I wtem nagle... nie wiem, skąd ta szatańska myśl powstała w Toma głowie! Ale jeszcze nikt nie zdołał zrozumieć, co się stało, gdy już panna Dziudzia, od stóp do głów zlaną syczącym strumieniem, stała onieemiała i ciekąca na środku gazonu.

— Tomku! Smyku jakiś! Złe dziecko! — krzyknęła matka i w ciągu jednej, jednej sekundy Tom dostał w odpowiednim miejscu trzy klapsy, z których poznał nieomylnie, że drobna i biała ręka matki jest równie silna i błyskawiczna, jak zdecydowana.

Przez cały ten wieczór i następny dzień Tom siedział w swoim pokoju, na pokucie, pozbawiony leguminy i deseru. Trzeciego dnia dowiedział się, że na obiedzie mają być goście i krem mrożony z brzoskwiniami, poczuł więc lekkie wyrzuty sumienia i zdecydował się przeprosić pannę Dziunię. Rozstając się jednak z nią, już w drzwiach odwrócił się i powiedział:

— Przecież to było zupełnie jak prysznic, więc po co było tyle krzyczeć? Ja bardzo lubię prysznic.

Wszystkie dzieci były oburzone i zdecydowały, że Tom pewnie wcale nie ma sumienia.

ROZDZIAŁ IX. WIADOMOŚĆ

Od czasu awantury na jeziorze, z której Ali cudem wyszedł cało, już Olek ani Nik nie myśleli o ucieczce na widok czwórki siwych kuców. Dziwnie ich to wspólnie przebyte niebezpieczeństwo zbliżyło z Reną i Alim. Toteż gdy jednego dnia, siedząc na drzewie, posłyszeli głos Toma: „Chłopcy, przyjechali z Hołowina!” — obaj pośpiesznie zeskoczyli i puścili się do domu.

Spotkali całą gromadkę schodzącą ze stopni tarasu, ale na twarzach wszystkich nie było zwykłej wesołości, owszem, mieli miny poważne i skupione.

— Co się stało? — pytał Nik, zamiast powitania.

Rena odpowiedziała:

— Przyszła wiadomość, że babunia chora i wszyscy jadą do Ostępowiec.

— Jak to i rodzice? — zapytał Olek.

— Wasi rodzice i moja mama — odpowiedziała Rena.

— A my?

— O! my zostajemy — westchnęła Renia — choć myślę, że powinna bym jechać, bo mogłabym się przydać.

Wszyscy umilkli, po chwili Olek zapytał znowu:

— A wuj Ryszard?

— Papo zostaje, to cała nasza pociecha.

— No dobrze — powiedział Nik — ale do Ostępowiec jest tylko cztery godziny jazdy i wszyscy prędko wrócą.

— Tak, jeżeli babcia prędko wyzdrowieje.

— Gdzie Ali? — spytał po chwili Olek.

— Został w domu, bo go głowa boli.

— Kiedy rodzice jadą?

— Jutro rannym pociągiem.

— Aha...

Rozmowa nie kleiła się i nikt nie miał ochoty do zabawy, jedna Ania skakała sobie zawzięcie, zgoła nie interesując się sprawami i troskami starszych.

Dzieci wróciły do gabinetu, gdzie wszyscy siedzieli, wsunęły się niespostrzeżenie i stanęły

pod oknem. Starsi wydawali się strapieni. Cio-
cia Halszka mówiła:

— Co za przykrość doprawdy, że wasza pan-
na Maria jeszcze nie wróciła, kiedy przyjeżdża?

— Za dwa tygodnie — odpowiedziała mat-
ka — doprawdy, nie wiem, z kim dzieci zоста-
wić, bo trzeba szczęścia, że i monsieur Martin
pojechał na kilka dni do Kijowa. Żadnej osoby
odpowiedzialnej w domu. A chłopcy miewają
czasem tak niespodziewane pomysły!

— Polecę *mademoiselle* Lucette, żeby co
dzień przyjeżdżała z dziećmi. I przy tym po-
proszę Ryszarda, żeby zaglądał do waszej dzie-
ciarni. A może dalibyście nam całą gromadę do
Hołowina?

— Och nie! Dziękuję Halszko, to taki kło-
pot! Liczę zresztą na rozsądek Olka i Marty,
zresztą jeśli się da, August zaraz powróci.

— Jakże to już późno — wykrzyknęła cio-
cia Halszka — a trzeba jeszcze wydać tyle roz-
porządzeń przed wyjazdem. *Réne, mon enfant*⁹,
jedziemy już.

⁹*mon enfant* (fr.) — moje dziecko. [przypis edytorski]

Ciocia Hala wstała, nastąpiły pożegnania, podjechał powóz i za chwilę już tylko tuman kurzu migał za bramą.

W domu zawrzało jak w ulu. Ojciec wyszedł na tok wydać rozporządzenia na czas swej nieobecności. Matka zabrała się do uregulowania wszystkiego w domu. W garderobie pakowano rzeczy. Przyszła klucznica, ogrodnik po rozkazy. Wszyscy biegali, krzątali się, jak gdyby miano ruszać do Ameryki. Dzieci tułały się po domu niespokojnie, wytrącone z równowagi.

W korytarzu, między pokojem Ani a garderobą Nik napotkał nianię, która niosła cały stos sukienek białych i kolorowych.

— Cóż to i niania gdzieś się wybiera? — zapytał ironicznie.

— A jakby Nik zgadł! — rzekła niania.

— E... — powątpiewająco mruknął Nik.

— Nie „eee”, tylko tak! Jaśniepaństwo zabierają Anię, to i mnie naturalnie.

— Albo to Ania jedzie z rodzicami? — zdziwił się Nik.

— A właśnie! — odparła z godnością niania — Czemu by nie miała jechać, czy to jej mus tu zostawać, czy co? Pojedziemy i kwita.

Nik się zaniepokoił w swej miłości własnej i wszedł do garderoby. Na środku pokoju stała waliza do połowy napełniona, nad nią panna Dziudzia; na krzesłach, stołach i stołkach suknie, bielizna, obuwie w ogromnej ilości.

Na podłodze siedziały Marta i Ania, układając wstążki w pudełku. Nik się zbliżył.

— Marta, prawda to, że Ania też jedzie do Ostępowiec? — zapytał.

— *Prawda, prawda* — wykrzyknęła Ania, podskakując z uciechy — pojedę do babuni, i tak!

— Prawda, Ania pojedzie, bo jest za mała, żeby zostać bez mamy.

— Ech! Co tam Marta rozpowiada — oburzyła się niania — mało to razy Ania zostawała ze mną? Cóż to jaśniepani mi nie ufa, czy co?

— E... niania w złym humorze, chodźmy sobie — szepnęła Marta i oboje z Nikiem wyszli z garderoby.

Bardzo smutno zeszedł dzień do wieczora, a i wieczór niewesoło. Dzieci smuciły się, że jutro już same będą musiały jeść kolację i że nikt nie przyjdzie ucałować je na dobranoc. Rodzice martwili się, że zostawiają swoją gromadkę bez należytej opieki, wszyscy zaś razem niepokoili się o babcię.

Jedna Ania, która nie znała niepokoju, nie miała trosk ani kłopotów, szczebiotała bez ustanku i opowiadała każdemu, kto chciał słuchać, jak to jutro ona pojedzie.

Nazajutrz z rana na gwałt wypito kawę, która nikomu nie smakowała i rodzice z Anusią i nianią pojechali na kolej.

Dzieci odprowadziły ich aż do bramy, stojąc na stopniach powozu i wróciły smutne ze zwieszonymi głowami.

ROZDZIAŁ X. WYPRAWA DO STAREGO ZAMKU

— Panienko, proszę wstawać i czesać się sama. Panna Dziudzia pojechała do miasteczka.

Marta otworzyła oczy i ujrzała nad sobą Marynię z bucikami chłopców w ręku.

— Jak to, panna Dziudzia pojechała do Czerniachowa? Kiedy? — zapytała na wpół rozbudzona Marta.

— A dziś raneńko, razem z ekonoma żoną i ogrodnikiem, kazała powiedzieć panience i paniczom, że wieczorem wróci i żeby nic się złego bez niej nie stało — rzekła Marynia rada w głębi duszy, że znieawidzona zwierzchniczka wyjechała na cały dzień.

— Aha, dobrze — odparła zadziwiona Marta. Siadła na łóżku, wsunęła nogi w ranne pantofle i poszła myć się do łazienki. Z drugiej strony łazienki znajdowały się pokoje chłopców. Marta nie wytrzymała, uchyliła drzwi, wsadziła przez nie głowę, na której wszystkie włosy spięte były na czubku do mycia i krzyknęła:

— Chłopcy wstawać, nie ma Dziudzi, pojechała na cały dzień do Czerniachowa!

Chłopcy nie spali już od dawna, siedzieli wszyscy trzej na łóżku Olka w koszulach nocnych. Wiedzieli już od Maryni o wyjeździe szwacz-

ki, więc przyjęli wiadomość Marty ze spokojem.

— Patrzcie, jak ona wygląda! — wykrzyknął Tom, parskając śmiechem — zupełnie jak panna Dziudzia.

Panna Dziudzia, która od wieków zajmowała się garderobą dzieci w Nizpolu, nazywała się właściwie panna Józia, ale Nik tak ją kiedyś przezwał i tak już zostało.

Marta się obraziła.

— Głupi jesteś! — wykrzyknęła i trzasnęła drzwiami. Stanąwszy jednak przed lustrem łazienki, nie mogła zaprzeczyć, że z tymi włosami zwiniętymi w małą kukielkę na czubku głowy istotnie przypominała trochę pannę Dziudzię, uśmiechnęła się więc, ale zawołała przez drzwi do chłopców:

— Wstawajcie prędzej i chodźcie na śniadanie! — potem zaczęła się myć.

Całe przedpołudnie zeszło spokojnie. Marta odbyła sumiennie swoją godzinę muzyki, potem peła kwiaty w dzieciennym ogródku, kar-

miła gołębie, porała się z kotami, słowem robiła to co zawsze, bez względu na brak dozoru.

Chłopcy udawali, że łowią ryby w jeziorze, potem pół godzinki spędzili w stajni na rozmowie z Gabrem furmanem, pokłócili się parę razy, a nawet zdaje mi się, że Nik Tomka wytargał za uszy. Wszystko jednak skończyło się dobrze i o pierwszej cała czwórka stawiała się na obiad, z rękami o tyle o ile umyтыми.

— Co będziemy robić po obiedzie? — zapytał Tom, wkładając do ust zbyt duży kawałek cieleęciny.

— Tom! Udławisz się na pewno! Jak ten chłopiec nieelegancko je — rzekła ze smutkiem Marta. — Może byśmy poszli do parku i zabawili się w czerwonoskórych? — dodała.

— Na nic jest zabawa w Indian bez Dziudzi! Któż zgodzi się być białym i zostać oskalpowanym? — zaproponował Nik. — Pójdziemy lepiej na strych, do stajni. Zwieźli z rana masę siana, prześlicznie pachnie i jest miękkie.

— Na strych chodzić nam nie wolno, odkąd Hawryłko spadł przez dziurę, wiesz o tym Nik! — rzekł groźnie Olek.

— To zresztą żadna zabawa to siano! Po drapiemy sobie twarze i ręce i cały dzień będziemy mieć pełno siana za koszulą. Nie pójdę na strych. — wygłosił stanowczo Tom.

— Ty babo! — rzucił pogardliwie Nik i zamyslił się głęboko.

Chwilę jakąś dzieci jadły w milczeniu kompot z wisien.

— Może byśmy zagrali w krokieta? — proponował Olek bez zapału, ale w tejże chwili przerwał mu Nik:

— Słuchajcie — zawołał rozradowany — wiem już, co zrobimy i doprawdy jest to najświetniejszy projekt na świecie! Oto pojedziemy wózkami do starego zamku, weźmiemy z sobą podwieczorek i zabawimy się tam w napad Tatarów! — umilkł i nastąpiła cisza.

Wszyscy głęboko rozważali rzecz.

— Hm... tak! Projekt jest dobry! — rzekła poważnie Marta.

— Możemy jeździć sami wózkiem i mucką. Podwieczorek już też nieraz braliśmy do lasu, mama się na to zgadzała — zauważył Olek ze stanowiska prawnego.

— Tak, tak, naturalnie pojedziemy do starego zamku — wykrzyknął uszczęśliwiony Tom.

Zapanował ogromnie dobry humor, zaczęto omawiać projekt, każdy dodawał swoje rady. Postanowiono wyruszyć o godzinie trzeciej (do zamku bowiem była dobra godzina drogi) do piątej się bawić, potem zjeść podwieczorek, wypocząć i ruszyć z powrotem, aby zdążyć na kolację. Zaraz po obiedzie zabrano się do przygotowań.

Marta z klucznicą zapakowały spory kosz z prowiantami i przygotowały pled, kapelusze i chustki do nosa, których brak w kieszeniach dawał się często odczuwać. Chłopcy zebrali wszystkie rzeczy potrzebne do walki z Tatarami, tudzież laski, bez których żaden dbały o bezpieczeństwo człowiek nie wyruszy w dalszą drogę. Potem udali się do stajni, aby pomagać w zaprzęganii.

— Jak myślisz Olku, a gdyby tak wziąć Almanzora zamiast mucki? — zaproponował ostrożnym głosem Nik. Almanzor była to nazwa nowego kuca, nie bardzo jeszcze wypróbowanego; od dwu dni dopiero był w Nizpolu, a Tom nazwał go Almanzorem, gdyż wyglądał na bohatera i miał dzikie wejrzenie.

— Hm... zapewne, zamek dość daleko, a mucka już nie bardzo dobrze biega. Czy ja wiem, pewnie Gabro nie pozwoli.

— Zdaje mi się, że go nie będzie teraz, poszedł do domu — rzekł niepewnie Nik — Olku, przecież konno jeździmy na dużych koniach i to rasowych, a umiemy sobie z nimi dać radę, cóż dopiero taki kuc... Almanzor!

— No tak, możemy go chyba wziąć, to nie ulega kwestii — zdecydował przekonany Olek.

Gabra w istocie nie było, a chłopiec stajenny, niezbyt zresztą rozwinięty, Michałko, bez wahania wyprowadził ze stajni Almanzora i zaprzął go do wygodnego, żółtego wózka, którym dzieci jeździły na spacer.

— No, chłopcy, pędem do domu i ubierać się — zawołał Olek, wskakując na kozioł i trzaskając z bicia z fantazją.

Dziesięć minut potem dzieci jechały w stronę lasu. Kosz z prowiantami upakowany był pod siedzeniem, kapelusze na głowach, łuki, laski, miecze na kolanach groziły mocno wykluciem oczu przy silniejszych pochyleniach wózka.

— Czy dobrze znasz drogę, Olku? — zapytała Marta.

— Czy ją znam! — odparł Olek z taką miną, jak gdyby całe życie nic innego nie robił, tylko jeździł do starego zamku.

— Dawno tam nie byłem, chyba ze dwa lata! — rzekł Nik w zamyśleniu. — Nawet nie pamiętam dobrze, jak się tam jedzie, drogą jak do Hołowina, a potem przez las na lewo, prawda?

— Zobaczysz za chwilę — odpowiedział Olek. — Byłem tam w roku zeszłym w jesieni, jakeśmy z papą objeżdżali grunta — dodał z powagą.

— Olku, ten zamek zawsze do nas należał? Nawet jak jeszcze był? — zapytał Tom bardzo mądrze, ale wszyscy go i tak zrozumieli.

— Zawsze — rzekł Olek — mieszkali tam nasi przodkowie i odpierali w nim napady Tatarów, Turków, Szwedów może nawet. Och, był to możny i dzielny ród, ci nasi przodkowie, nie to, co my teraz! — dodał z goryczą.

— Chciałbym, żebyśmy i teraz mieszkali w zamku — rzekł Nik pełen zadumy i melancholii. — Chciałbym, żebyśmy mieli własny hufiec pancerny, armaty na wałach, własny dwór, dworzan i damy dworskie, trefni-siów, kapelę i hajduków. Żebyśmy urządzali turnieje i żeby król do nas przyjeżdżał na łowy, i...

— Ty! głupi — ofuknął go Olek — jaki król?

Nik się stropił, bo właściwie prawda, jaki król? Nie ma przecież własnego polskiego króla, ani nic!

Droga do starego zamku zeszła nadspodziewanie prędko.

Za lasem z daleka już było widać wysokie baszty i nagie, na wpół zwałone mury starego zamczyska. Almanzor biegł doskonale, nie zdradzając żadnych skłonności rewolucyjnych. Tom zauważył z triumfem:

— Gdybyśmy wzięli muckę, bylibyśmy jeszcze w lesie.

— Tak — potwierdził Olek — dobrze się stało.

Dojechawszy do góry, na której wznosiły się ruiny, dzieci wysiadły z wózka i postanowiły zostawić go na dole, ponieważ dostać się nim poza obręb murów było niepodobna z powodu nawalonych głazów i fosy, przez którą nie było mostu. Olek wyprzągnął więc Almanzora i z pomocą Nika uwiązał go przy drzewie, upewniając trochę zaniepokojoną Martę, że znakomicie potrafi zaprząć go na nowo. Potem dzieci zabrały koszyk i ruszyły do zamku. Wdrapano się po nierównej już, szerokiej drodze i z pewnym skupieniem wkroczoło przez dawną, ogromną bramę pod wieżą.

— Bardzo, bardzo dawno był tu most zwo-
dzony — objaśnił Olek przyciszonym głosem.
Wydało się to dzieciom bardzo naturalne, że
Olek mówi cicho, choć żadne nie zdało sobie
sprawy z tego, że te ruiny robią na nich wraże-
nie kościoła.

Przystanęli chwilkę i patrzyli, milcząc, na
smutne wyłomy i kupy kamienia, oraz na po-
tężne sklepienie wieżowej bramy. Po czym ru-
szono dalej.

— Och Olku, patrz! To muszą być ślady
kul — szepnął z zachwytem, zawsze rycersko
nastrojony Nik. — Patrzcie, to muszą być na
pewno ślady kul tatarskich! Jakże bym chciał
żyć w tamtych czasach!

— Kul... tatarskich! Co ten plecie? — rzekł
trzeźwy i krytyczny Tom.

Dzieci poszły dalej, nie rozstrzygnąwszy tej
kwestii. W jakimś miejscu, w sali półokrągłej,
o zwalonym sklepieniu, gdzie chmiel dziki i po-
wój zwieszał się z każdego otworu w ścianach,
wyrósł pośrodku młody dębczak. Dzieci długo
patrzyły ze wzruszeniem i urazą na to młode,

silne drzewo, które wybrało sobie miejsce między zwaliskami dawnej świetności i panoszyło się triumfalnie wśród gruzów minionej potęgi. Nikt nie wiedział, dlaczego wszystkim jest trochę smutno, a trochę przyjemnie, ale wszyscy poczuli się sobie bardzo bliskimi, niby wspólnicy jednej sprawy. Nik rzekł z cicha.

— Mnie się zdaje, że to dlatego, że to zawsze było nasze, że broniliśmy tego z całych sił i że tu kładliśmy nasze życie i że to jest oblane naszą krwią.

Wszyscy skinęli, milcząc, głowami głęboko zadowoleni, że Nik, choć nieudolnie, powiedział to właśnie, co było trzeba. Wszyscy też zrozumieli, że to nie Nik, ani Olek bronili z całych sił i kładli życie, ale to wszystko jedno, bo dziad czy pradziad to tak samo jakby Nik albo Olek, a nawet i Tom.

W skupieniu dzieci przechodziły z sali do sali, a raczej ze zwalisk na zwaliska; sufitów i podłóg nigdzie prawie nie było, a i ściany wewnętrzne tylko gdzieniegdzie pozostały. Wielkie lochy też się widać miejscami zwały, bo

często trafiano na doły, a nawet w jednym miejscu widać było ciemne wnętrza, głębokie jak studnia, tajemnicze a straszne, jak otwarta paszcza potwora.

— Nik, nie zbliżaj się tam — zawołała przerażona Marta — czy chcesz koniecznie wpaść? Przecież cię stamtąd nie potrafimy wydobyć!

— Musi tam być jakaś śpiąca królewna — powiedział stanowczo Nik, patrząc w czarne wnętrza. — Trzeba by ją ocalić. A może tam skarby zakopane? Złoto, srebro, kamienie?

— Najpewniej są tam szczury i jaszczurki — stwierdził sceptycznie Tom — może nawet puszczyki obrzydliwe, chodźmy stąd, ciężko mi już dźwigać ten kosz. — Musimy bowiem stwierdzić ku wstydowi dzieci, że kosz niósł najmłodszy Tom.

Przywołane tą uwagą do rzeczywistości dzieci poczuły, że są głodne. Wydostały się więc na wewnętrzny dziedziniec i w cieniu stuletnich dębów zasiadły do podwieczorku. Kosz chował w swym wnętrzu prawdziwe skarby, choć ni-

czym nieprzypominające wymarzonych skarbów Nika.

Wszystkie gusta zostały przez troskliwą Martę uwzględnione, a było wszystkiego tak dużo, że pomimo usilnych starań, nie podołano całej zawartości koszyka.

— No, Marta, chwat jesteś dziewczyna — rzekł Olek, wycierając usta serwetką. — Porządnie przygotowałaś ten podwieczorek. Teraz złóż resztę do koszyka i zabierajmy się do oblężenia.

— Do oblężenia? — wykrzyknął z oburzeniem Nik. — Chyba nie myślisz o tym, Olku! Któż z nas zgodzi się oblegać zamek, którego przez tyle wieków bronili nasi przodkowie! I my możemy go tylko bronić i myślę, że wszyscy będziemy załogą, a Tatarzy, czy też może lepiej Szwedzi, będą na niby.

Jakoż tak się stało. Olek naturalnie został panem zamku, Nik towarzyszem pancernym, tym, który się przedziera przez wrogów, aby wysadzić kolubrynę (jak Andrzej Kmicic). Tomkowi zostało powierzone ważne stanowisko ka-

noniera, a Marta została żoną księcia zamku, pielęgnującą rannych i modlącą się w kaplicy zamkowej przy huku dział.

Zabawiono się świetnie i oprócz tego, że Nik nabił sobie sińca na czole, przewracając się przez rzekome działo, a Marta rozdarła sukienkę, co jest wyłącznym przywilejem wszystkich dziewczynek, wszystko powiodło się znakomicie. Wróg cofnął się okryty hańbą, zostawiając bogate łupy, a parokrotnie zabity towarzysz pancerny ożył oczywiście, aby dzielić z załogą zamku chwałę i zdobycz wojenną.

Czas zbiegł tak niespodziewanie szybko, że gdy upojony zwycięstwem Olek spojrział na zegarek, natychmiast opuściło go uczucie triumfu i radości — była godzina ósma.

— Jezus Maria! Czy wiecie, która godzina? Ósma! — wykrzyknął, złapawszy się za głowę. — Prędzej, Marto, gdzie koszyk, chłopcy zbierajcie się co żywo, chodźmy!

Biegnąc prawie, wydostali się z zamku przez wał i pędem zbiegli po pochyłej murawie, aż pod drzewa, gdzie zostawili wózek.

— Olku, mój Boże — wykrzyknął nagle Nik, który biegł przodem — gdzie Almanzor?

Dzieci stanęły jak wryte. O zgrozo — Almanzora nie było!

Nastała chwila ciszy, gdyż nikt słowa przemówić nie mógł z przerażenia. Nareszcie Olek wybąkał:

— Może pasie się tam za krzakami...

Wszyscy pobiegli pędem za krzaki, potem okrążyli zamek, potem szukali w dolinie i na łączce, daremnie! Nigdzie go nie było. Zgnębieni strasznie, milcząc ze zbytku niepokoju, zgrupowali się wszyscy dokoła wózka.

— Prawdopodobnie ktoś go ukradł — rzekł Tom i zazgrzytał zębami w bezsilnej złości.

— Tak! O mój Boże, czemuśmy go tu zostawili! — jęknęła Marta.

— Ależ nie, nikt go nie ukradł — wykrzyknął Nik — po prostu urwał się i wrócił do stajni, patrzcie, resztki lejcy na drzewie!

Ta hipoteza dodała dzieciom otuchy. Naturalnie! Jeżeli tylko urwał się i wrócił do Nizpola, to zło jest mniejsze. Tom zauważył z goryczą, że: „Mucka by tego nigdy nie zrobiła”. Ciołek afrykański, nie kuc przyzwoity. Olek zaś w poczuciu swej odpowiedzialności miał minę strasznie zgnębioną.

— No, tymczasem musimy wracać piechotą — zdecydował szorstko — i w dodatku trzeba zabrać wózek, bo do jutra rana mógłby go ktoś ukraść. Marto, postaw koszyk w środku i zaprzęgajmy się.

Nikt nie starał się zaprotestować, uznając słuszność tych słów i czując zresztą z tonu Olka, że nie odstąpi od swego. Olek i Nik chwycili za dyszle, a Marta z Tomem popychali z tyłu.

Z początku wózek wydał się dzieciom dość lekki, ale po ujściu kilkuset kroków zatrzymały się zgodnie, bardzo zasapane. Kilka minut odpoczywały, kucnąwszy na ziemi, potem ruszyły dalej. Ale wózek z każdym krokiem stawał się cięższy, szczególnie kiedy wjechano do lasu. Koła zaczepiały się o korzenie, podskaki-

wały na pieńkach, gałęzie wkręcały się zdradnie w szprychy, drapały dzieci po nogach.

— Ja już dalej nie mogę — jęknął Tom, gdy mu na dobitkę sucha gałąź rozdrapała policzek. — Nie mogę już iść dalej, wolę tu zostać i umrzeć! — to mówiąc, usiadł z rozpaczą na pieńku i zaczął rzewnie płakać.

— Tomku, przecież słońce już zaszło, niedługo zrobi się ciemno, zbierz siły! — perswadował Olek zupełnie zgnębiony odległością od domu i niepokojem o Almanzora.

— Wiecie co? — zaproponował Nik. — Niech Tom siada do wózka, pociągniemy go, nie jest znowu aż tak ciężko!

— Dobrze — zgodziła się Marta, zawsze chętna w ulżeniu młodszemu. — Tomciu, obetrzyj oczy, masz moją chusteczkę. Wiesz co? Zdaje mi się, że jeszcze zostały paluszki w koszyku. No, siadaj do wózka.

Tom uspokoił się nieco, siadł na koźle i ruszono dalej. Wprawdzie nie było „aż tak ciężko”, ale dzieciom po paru minutach pot kroplisty wystąpił na czoła.

— Olku — rzekł nagle Nik z niepokojem w głosie — ja wcale nie przypominam sobie tej poręby.

Wózek stanął i wszystkie dzieci zaczęły się uważnie rozglądać.

— Tak — rzekł po chwili Olek z głuchą rozpaczą — poszliśmy nie tą drogą. Trzeba było od sosny iść na prawo, a nie na lewo!

Długą chwilę stali wszyscy bezradnie, nie mając sił ani zawrócić, ani jechać dalej. Ogarneło ich straszne zmęczenie, niepokój, rozpacz. Wózek wydał się im ciężarem ponad siły, a droga nieskończenie daleka. Poprzez gałęzie drzew świeciły czerwone odblaski nieba, dziwnie groźne i niesamowite. Tom zlął z kozła i w milczeniu zawrócono wózek. Ruszono z powrotem w zupełnej ciszy.

— Wiecie co? — rzekł nagle Olek z mocą. — Zdaje mi się, że nie powinniśmy rozpaczać! Nic się nikomu złego nie stało. Wrócimy późno do domu, ot i wszystko. Przyznaję naturalnie, że wszystkiemu jestem winien. Nie trzeba było zapominać o czasie, ani wyprzęgać Al-

manzora. Ale kiedy się już tak stało, to bądźmy mężni! — to powiedziawszy, pociągnął wózek z wielką energią.

Przykład starszego brata podziałał. Tom, wywiesiwszy język, pchał dzielnie razem z Martą, która dobywała wszystkich sił, a Nik zaciął zęby, pomimo że mu koło przejechało nogę.

Olek znalazł się na wysokości zadania, odważnie wziął winę na siebie, dodał wszystkim energii i sam ciągnął, aż mu żyły nabrzmiały na rękach i czole. Kiedy dzieci wyjechały z lasu i zamierzały puścić się tym razem dobrą drogą, zauważyły dwie rzeczy: mianowicie, że zrobiło się już prawie ciemno i że na wschodzie ukazała się wielka, ciemna, grzmiąca chmura. Wszyscy oniemieli ze zgrozy, a kiedy ochłonęli z pierwszego wrażenia, Tom zaczął krzyczeć jak opętany:

— Będzie burza, zobaczycie, że będzie burza! Ja chcę do domu, do domu!

— Trzeba zostawić ten nieszczęsny wózek i biec czym prędzej — rzekł Olek zdławionym głosem.

— Nie możemy biec — wykrzyknęła Marta — jesteśmy strasznie zmęczeni! Och Tom, przez litość, przestań krzyczeć! — i schwyciwszy chłopca, posadziła go sobie na kolanach i zaczęła tulić jak mała mateczka.

— Jest jedna tylko rada — zdecydował Nik — wrócić do zamku i schronić się przed deszczem. Iść lasem w czasie burzy nie możemy, a nie ma tu żadnych chat blisko. Nic się nie bójcie, jestem pewien, że już nas szukają. Zobaczyli przecież Almanzora samego. Na pewno będą nas szukać.

Milcząc, zawróciły dzieci do zamku. Daremnie Nik starał się je rozruszać. Kiedy wchodziły przez wieżową bramę, rozległ się grzmot i wkrótce potem spadły pierwsze, wielkie krople deszczu.

ROZDZIAŁ XI. NOC W RUINACH

— Jestem pewien, że Gabro już dawno spostrzegł Almanzora i zaraz puścił się na nasze poszukiwanie — rzekł Nik, kiedy już znaleźli

jedyną salę z sufitem i trzema ścianami i rozgościli się w niej trochę. Olek i Nik przynieśli z wózka materacowe siedzenia i koszyk, odrzucili trochę kamieni z kąta sali, można więc było urządzić się jako tako. Marta posadziła Toma tuż koło siebie na materacyku i schowała mu głowę pod swój fartuszek, aby nie widział błyskawic.

— Tak! Ale nie wiedzą, w którą stronę poszliśmy. Zdaje mi się, że nikt z nas nie wspominał nikomu o starym zamku — rzekł Olek.

W istocie dzieci nie mogły przypomnieć sobie, czy mówiły komu o celu wycieczki, a nawet, owszem, wiedziały w głębi duszy, że rozmyślnie przemilczano tę sprawę w obawie, żeby wycieczka do zamku nie wydała się — pozbawionym rozsądku starszym — za daleka.

— To nic! — zawołał Nik, zawsze pełen otuchy — przecież pojedą po śladach Almanzora i trafią.

— Och, Niku — wykrzyknął Tom, wysuwając rozczochraną głowę spod fartuszka Marty — przecież po śladach trafia się tylko w baj-

kach i powieściach, a naprawdę to pewno jeszcze nikt nie trafił.

— Cicho bądź, Tom — ofuknął go Nik — taki mały jesteś, a myślisz, że już wszystko wiesz! Właśnie, że trafią, bo Almanzor ma znacznie mniejsze kopyta niż inne konie — twierdził gorąco, choć w głębi duszy nie był nawet pewien, czy Almanzor w ogóle wrócił do domu, chciał jednak koniecznie dodać wszystkim odwagi na tę czarną, burzliwą noc w ponurych ruinach.

Olek postanowił coś radzić. Siadł więc na uboczu i zamyślił się głęboko. Nik zaś pełen dobrej woli i nedorzecznych pomysłów proponował.

— Ja pójdę do domu. Nie jestem zmęczony i prawie wcale nie boję się burzy i ciemności. Będę biegł prędko i za godzinę sprowadzę wam konie i bryczkę.

— Nie — zaprotestował Olek stanowczo — nie możesz iść w burzę przez las, w dodatku nie znając dobrze drogi. Zabłądzisz albo piorun cię gdzie trafi. Trzeba coś innego zrobić.

Oto rozpalimy ognisko, aby z daleka zobaczyli światło, jeśli będą nas szukać, i co kilka minut będziemy trąbić na trąbce Toma. Możemy też czasem nawoływać. A teraz chodźmy, Niku, rozejrzeć się, czy gdzie nie widać jakiegoś światełka i może znajdziemy jeszcze suche gałęzie.

Ruszyli więc pomimo deszczu. Marta zaś jeszcze mocniej przytuliła do siebie Toma, w poczuciu większej odpowiedzialności. A rzeczywiście nie było wcale przyjemnie. Grzmoty coraz mocniej rozlegały się nad głową i powtarzały tysięcznym echem między murami zamku, deszcz spływał przez wszystkie szpary, błyskawice raz wraz oświeślały złowrogim blaskiem ponure złomy murów i kupy kamieni, za którymi zdawały się czać duchy złośliwe a straszne. Potem znów wszystko zapadało w ciemność. Tom drżał i popłakiwał pomimo opiekuńczych ramion Marty.

Po upływie pewnego czasu Olek i Nik wrócili przemoczeni do nitki, ale za to z ogromnym naręczem chrustu. Nazbierali go pod wielkimi,

rozłożystymi dębami, które rosły na dziedzińcu, był więc względnie suchy. Kiedy już zgromadzili większy jego zapas, zabrali się do rozpalania ogniska. Do tej czynności i Tom wysunął głowę z objęć Marty i kucnął przy braciach.

Wybrano więc odpowiednie miejsce, widoczne z drogi, a osłonięte bokami. Potem połamano jedną gałąź na podpałkę, ułożono foremny stosik i zaczęto podpalać. Długo się to nie udawało i może nie udałoby się wcale, gdyby Marta nie była przypomniała sobie o papierze z prowiantów, który został w koszyku. Przy pomocy więc tego papieru udało się rozpalić ogień. Przysunięto doń materacyki i wszystkim zrobiło się jakoś raźniej. Prawda, że i burza ucichła. Z daleka jeszcze pomrukiwał grzmot, niby na pożegnanie, a deszcz padał już nieco spokojniej. Marta wydobyła z koszyka resztki chleba i szynki, podzielono się sumiennie i zjedzono do okruszyny, tylko Nik połowę swojej porcji schował na czarną godzinę.

Co parę minut Nik albo Olek brali trąbkę i trąbili długo, a przeciągle. Tom wzdrygał się

tedy cały, bo robiło mu się strasznie, i zatykał uszy.

Ale czas mijał, a nikt nie nadjeżdżał. Powoli zaczęła ogarniać dzieci senność i zniechęcenie. Coraz rzadziej Olek nawoływał, a Nik trąbił. Marta ułożyła skulonego Toma na materacyku, głowę jego na swoich kolanach, sama zaś oparła się o mur i przymknęła oczy.

Nastąpiła śliczna, świeża noc letnia. Powoli wysuwały się gwiazdy załkłe spod uciekających chmur. Jedna po drugiej oswobadzały się z kołderki obłoków na oczyszczonym, ciemnym niebie. Cisza głęboka zapanowała nad wszystkim i ubrała wszystko w swój majestat — noc ciemna. Ogień przygasł, żarzyły się tylko czerwone główne, ale nikt się nie ruszył, aby podsycić płomień. Nikt się już nie bał, pomimo że nietoperze przelatowały czasem nad samymi głowami, a w kątach i załomach murów drgały tajemnicze cienie. Nik zaczął mówić cichutko:

— Zdaje mi się, że jesteśmy uchodźcami, którzy uciekli przed hordą Tatarów, a powró-

ciwszy, zastali już tylko zgliszcza. My z Olkiem biliśmy się mężnie i jesteśmy skrwawieni. Marta ratowała swoje dziecko i biegła długo po przez zarośla i krzaki, ma ręce omdlałe od dźwigania ciężaru i podrapane nogi. Teraz siedzimy wśród zwalisk własnego domu i płaczemy nad tym, czego już nie ma. Bydło nasze wyprowadzono z obór i pozarzynano, służbę wierną wybito lub wzięto w jasyr, dom spalono do cna, mury tylko sterczą, kaplicę odarto ze wszystkiego, stare nasze zbroje, hełmy, pióropusze poniszczono, zabrano. Szaty złotem lite, hafty, które kobiety tkwały na krosienkach podarto na kawałki. Konie, nasze cudne araby, wprowadzono na arkanach, a ostatni siwy, jabłkowity, padł od strzały tatarskiej. Jeszcze wszędzie są łuny na niebie, ale już wszyscy wracają do swoich spalonych siedzib. Zamek nasz jest zwalony, ale odbudujemy go! Olku, odbudujemy, prawda?

— Odbudujemy! — powiedzieli wszyscy razem: Olek, Marta i rozbudzony Tom.

ROZDZIAŁ XII. W KTÓRYM HISTORIA WŁAŚCIWIE DOPIERO ZACZYNA BYĆ CIEKAWA

Tymczasem w Nizpolu Gabriel z Janem zaniepokojeni samotnym powrotem Almanzora zwołali parobków i zaczęli szukać dzieci w lesie. Około północy zobaczyli w ruinach światelko, poszli tam i znaleźli naszą gromadkę, na wpół uspioną, dokoła żarzącego się jeszcze ogniska. Rozespane i zmęczone dzieci umieszczono na bryczce i zawieziono do domu, gdzie cała służba żeńska, z panną Dziudzią i klucznicą na czele, lamentowała wniebogłosy.

Na odgłos zajeżdżającej bryczki wyleciały wszystkie do podjazdu i zaczęło się urwanie głowy. Panna Dziudzia, potrząsając pięściami, twierdziła skrzeczącym głosem, że nie widziała nigdy równie nieznośnych bębnow, klucznica płakała z radości, służące uśmiechały się złośliwie na myśl, co posłyszycy od państwa panna Dziudzia, skoro tylko wrócą, a dowiedzą się

o wszystkim, zaś dziewczęta folwarczne biegały od Toma do Nika, od Nika do Marty, by stwierdzić własnoocznie, że są to „skarbowe” dzieci we własnych osobach, całe i nieuszkodzone. Pierwsza oprzytomniała klucznica i energicznie zabrała się do wprowadzenia spokoju i równowagi.

— No, dosyć tych wydziwian! — krzyknęła na dziewczęta. — Marsz spać. Idźcie sobie wszyscy, cóż to, dzień biały czy co? A jutro do roboty kto wstanie? Chodźcie robaczki, biedne wy moje „siroty” — zwróciła się do dzieci. — A panna Dziudzia, zamiast kłąć i narzekać, lepiej by toto kładła spać! Na gderanie jeszcze znajdzie się czas. Tomuś, serdeczne moje kochanie, toż to ledwo na nóżkach stoi! — i wzięwszy Toma na ręce, zaniosiła go do pokoju i nie wróciła do oficyn, aż wszystkie dzieci ułożone zasypiały smacznie.

Smutnie zszedł następny dzień. Dzieci chodziły niespokojne i zmęczone, żadna zabawa nie szła, przy tym panna Dziudzia od rana kładła im w uszy, że cała sprawa nie ujdzie na sucho,

że zaraz napisze o wszystkim do rodziców, że spotka ich straszna kara. Dzieci znosiły to cierpliwie w poczuciu winy. Jeden Nik się zbuntował:

— Ma być kara, to będzie — krzyknął zuchwale — nie ma o czym tyle gadać! — i puścił się z kopyta do parku.

Marta cicho i spokojnie odbyła jak zwykle swoje obowiązki, ale czuła się niedobrze, głowa ją bolała i była smutna. Na pociechę poprosiła o pozwolenie pójścia do królików i ruszyła na folwark. Przed oborą spotkała klucznicę i poszły razem.

— Ach Boże! Jakież dzisiaj przykry dzień! — poskarżyła się żałośnie Marta. — Panna Dziudzia gderze i gderze, chłopcy się kłócą bez ustanku, a mnie głowa boli!

— To czemuż Marta chodzi z gołą głową po takim słońcu? Że też ta szwaczka to o niczym nie pomyśli, nawet żeby dać dziecku kapelusz na głowę!

— Mogłabym sama wziąć — rzekła Marta — ale co tam słońce. Gorzej, że papuś i mama

będą z nas niezadowoleni. O, proszę patrzeć! Sułtanka uciekła z klatki i gonią ją, jeszcze sobie co zrobi, a papa tak kazał jej doglądać!

— Nic sobie nie zrobi, mało to razy uciekała? Marta to wszystkim się zaraz kłopotce, zupełnie jak nasza pani.

Tak gawędząc, doszły do królikarni i przeszły przez furtkę w ogrodzeniu. Królików było mnóstwo, duże i małe, czarne i białe, i popielate, i łaciaste, ale Marta umiłowała specjalnie jedną rodzinę, złożoną z matki i czworga małych. Cała rodzina była biała — miała tylko szare łatki na uszach.

Marta przysiadła i już rozpogodzona na widok swych ulubieńców, wyciągnęła do nich ręce, a króliki oswojone z nią zupełnie przybiegły zaraz, wyciągając pyszczki.

Z pół godziny spędziła Marta z królikami, a byłaby siedziała dłużej, gdyby nie wywołał ją głos Toma:

— Marto, Martusiu, chodź, Renia przyjechała.

Wstała więc z żalem, położyła królika, którego trzymała na kolanach i wyszła; zauważyła przy tym z przykrością, że faworyty poplamili jej sukienkę i że czeka ją nowa bura.

Olek, Renia, Tom i Ali szli naprzód, a za nimi w pewnej odległości *mademoiselle* Lucette z książką w ręku.

— Jak się masz, Marto! Cóż to za przyjemność siedzieć z królikami? Te głupie stworzenia zaraz znikają jak kamfora po różnych norach i dziurach.

— Ode mnie nie uciekają. Dawno przyjechaliście?

— Przed chwilą. Nika nie można nigdzie znaleźć, a i po ciebie trzeba chodzić aż na folwark! No, chodźmy się bawić.

— Ale jak?

Zawrócono w stronę parku. Gorąco było nieznośne, ani marzyć o tenisie, krokiecie czy grze jakiej!

— Może popłyniemy łódką? — rzekł figlarnie Tom. Wszyscy się roześmieli.

— Wiecie co? — zaproponował Olek. — Chodźmy na dół do parku, tam zawsze chłodno. Siądziemy na trawie i coś obmyślimy.

— Jeżeli siedzenie na trawie i chłód mają nam dopomóc, to chodźmy — zgodziła się Rena.

Mademoiselle Lucette, wzięwszy od dzieci przyrzeczenie, że żaden niedorzeczny pomysł nie przyjdzie im do głowy, została na werandzie. Ruszono więc do parku. Tam, w najniższym miejscu, pod cieniem najgęstszych drzew rozłożyło się nasze towarzystwo. Szeroko rozpostarły się białe sukienki na miękkiej, zielonej murawie.

Ale żaden pomysł nie przychodził dzieciom do głowy.

— Strasznie nudno jest na świecie — ziewnął niechętnie Tom.

— I owszem — rzekł Ali — tylko nie trzeba chodzić po słońcu.

— Et, pleciecie niedorzeczności! Co ma słońce do tego, że jesteśmy wszyscy niedołądzy? — rzekła Rena.

— Niedołądzy? — obraził się Olek. — A to dlaczego?

— Bo tyle nas jest, a nie umiemy nic wymyślić. Inne dzieci są same, a umieją się bawić doskonale.

— Na przykład ja — rozległ się głos z góry. Wszyscy podnieśli głowy. Spoza gęstych liści starego kasztana wysunęła się wesoła, rozczochrana głowa Nika, a po chwili on sam skoczył w sam środek koła.

— Powiem wam coś! — rzekł z tajemniczą miną.

— Mów!

— Kiedy się waham...

— A to nie mów — obojętnie rzuciła Renia.

— Et, pewno coś zmyślił i zadowolony! — dodał Olek.

Ale Marta, Tom i Ali wykrzyknęli prosząco:

— Niku, powiedz, mój drogi!

Zatem Nik rzekł cichutko.

— Widziałem ducha...

— Aaa... zdumieli się wszyscy.

— Plecie, plecie jak na mękach! — zawołał Olek.

— Sam pleciesz! — oburzył się Nik. — Kiedy „widziałem”, to widziałem.

— Gdzie widziałeś?

— Eee... kiedy mi nie wierzycie.

— Ależ wierzymy! Mój Niku, powiedz gdzie?

— W grocie — udobruchał się Nik, bo go Renia na przeprosiny pogłaskała po rękę.

— Kiedy, w nocy?

— Przed chwilą!

— W biały dzień! — wykrzyknęły wszystkie dzieci.

— Chodźmy zobaczyć! — zerwał się z trawy Tom.

— Och, głupi Tomku! Myślisz, że on na ciebie czeka? Pokazał się, znikł, i kwita!

— A jak wyglądał?

— Nie wiem dokładnie — rzekł Nik — to było tak: leżałem na łące, ale strasznie było mi gorąco, myślę sobie: „pójdę do groty, tam pewnie chłodno!”. Wstaję, idę. Wchodzę

do groty cichutko, bo myślę: „nuż złapię ptaszka jakiego” tak jak ty Olek tamtym razem. Pamiętasz?

— Pamiętam, mów dalej.

— Więc wchodzę cichutko, aż tu coś przede mną w grocie staje! Widziałem coś białego, szarego... Naraz strach! Znika ze stukiem... ale tak znika, spod nóg, nie przez drzwi, bo w drzwiach stałem!

— I nie przeraziłeś się?

— Owszem, przeraziłem... i... nawet uciekłem.

— Pewnie to był nietoperz!

— Ależ gdzie tam! Większe ode mnie i coś się świeciło w dodatku.

— I nie widziałeś co?

— Wiesz przecież, że w grocie zupełnie ciemno, a zresztą prosto ze słońca szedłem i mieniło mi się w oczach.

— To pewnie nic tam nie było, tylko tak ci się wydało!

— Olek — obraził się Nik znowu — przecież mówię ci, że widziałem, przez kilka chwil,

nim znikło! Zdaje się, że to była kobieta. Miała białą szatę.

Dzieci zadumały się. Ali przytulił się do Marty.

— Czemu nie złapałeś? — zapytała Renia.

— Bo... zdrętwiałem...

— Czy mówił co... ten duch?

— Nie, tylko, zdaje się, jęknął i stuknął strasznie, aż w uszach mi się rozległo.

— Jezus Maria — przeżegnała się Marta.

Znowu wszyscy umilkli, nagle Renia wstała energicznie.

— Chodźmy zobaczyć miejsce — rzekła stanowczo.

— Renuś, nie idziemy, ja nie chcę! — jęknął Ali głosem zrozpaczonego pieska.

— Nie bądź tchórzem, Ali. Weź mnie za rękę. Chodźmy!

Wszyscy wstali posłusznie i poszli. Rena z Nikiem i Olkiem naprzód, z tyłu Marta z Tomem i Alim, który ją ścisnął mocno.

— U nas w sali balowej, wiesz? — rzekła Renia — czasem coś się pokazuje, mówił mi Sylwester, a czasem w kaplicy o północy.

— Czemuś nigdy nie mówiła?

— Bo papo zabronił. Mówił, że to są głupstwa, w które nie trzeba wierzyć, ani ich powtarzać.

Grota znajdowała się prawie na końcu parku, między gęstymi krzakami dzikiego bzu, leszczyny, głogu... Ongiś była może piękna, czysta, oświetlana, może w niej były ławeczki, figury. Dziś zapadała się sobie w ziemię, w całkowitym zaniedbaniu. Z wierzchu porastały ją mech i trawa, omotywały gałęzie krzaków i zwoje pnączy, przygniatały konary drzew. Wewnątrz gniły nawiane wiatrem liście, porastał grzyb i mech. Wiele kamieni poodrywało się od ścian sklepienia i leżało sennie na podłodze, której każda płyta kamienna powykrzywiała się w inną stronę.

U zarośniętego, ponurego wejścia zatrzymały się dzieci.

— Kto idzie ze mną? — spytała się Renia.

— Ja — odpowiedzieli razem Olek i Nik.

— Dobrze, a wy czekajcie — rzekła do reszty dzieci.

Olek wysunął się naprzód i wkroczył w wąski, ciemny otwór, za nim Rena, za nią Nik.

— Odsuń się, Niku, od wejścia, bo zasłaniasz światło. Widzisz co?

— Nic.

— Tu zawsze tak strasznie ciemno — szepnęła Renia — jak ty mogłeś coś zobaczyć?

— Właśnie zupełnie nie wiem, jak zobaczyłem, bo ciebie na przykład prawie nie widzę, a masz białą sukienkę. Musiało się świecić.

— Tak, pewnie się świecił ten duch.

— Co wy tam robicie, gdzie jesteście? — wsunęła przez otwór głowę Marta, zaniepokojona ciszą, jaka panowała w grocie, dzieci bowiem z wrażenia mówiły szeptem.

— Możecie wejść wszyscy — rzekł Olek — nic tu nie ma.

Marta wsunęła się nieśmiało, ciągnąc za sobą Alego. Tom wszedł sam, choć ostrożnie.

— Nik, pewnie masz zapałki? Masz? To daj, trzeba zaświecić.

Nik zapalił, mdłe światelko przebiegło po chropowatych ścianach i zgasło. W głębinach swych kieszeni Nik odnalazł i kawałek świecy potrzebnej mu ongiś do preparowania strasznej trucizny.

Zapalił ją więc i zaczęto rozglądać się po wnętrzu tajemniczym. Strasznie wyglądały wielkie cienie dzieci, poruszające się fantastycznie na ścianach i sklepieniu.

Wtem Olek nachylił się i podniósł do światła jakiś przedmiot, wszystkie głowy wyciągnęły się i razem spotkały dokoła świecy i owego przedmiotu. Był to po prostu świeży, nadgryziony ogórek.

— Twój duch jada ogórki — rzekła poważnie Rena. Wszyscy parsknęli śmiechem. Ale Nik rzekł gorzko:

— Śmiejcie się, ale ja wiem, że tu ktoś był.

— No, pewnie, że był, skoro nawet zgubił ogórek. Pewnie jakiś zmęczony upałem ogrod-

niczek albo któraś z tych dziewczyn, co gracują ścieżki w parku.

— Nie! — powiedział twardo Nik — Bo gdzieżby znikła?

Tak, to był argument! Sprawa znów zaczęła się przedstawiać poważnie i zagadkowo. Wszyscy umilkli i zaczęli rozglądać się w tajemnicach groty. Naraz Tom krzyknął. Zrobiwszy krok naprzód, poczuł, że wszystko zachwiało się pod nim, skoczył więc w tył, a w grocie rozległ się głośny stuk opadającego kamienia. Wszystkie dzieci rzuciły się ku niemu.

— Tomku, co się stało, co to było, co stuknęło?

— To... to... ta płyta była uchylona, zachwiała się pode mną i opadła...

Jak na komendę wszyscy przysiedli na ziemi i rękami drżącymi z niecierplivej ciekawości zaczęli odrzucać na bok liście i kamienie.

W środku groty zajaśniała płyta większa i bardziej błyszcząca, pociągająca swym wyglądem, jakaś odmienna od wszystkich innych w grocie.

— To... tędy znikł ten ktoś — rzekła Rena, dotykając jej ręką.

— Cóż ty myślisz? — spytała Marta, uszom i oczom własnym nie wierząc.

— Myślę, że ten ktoś to był duch pokutujący, a tam — tu wskazała palcem płytę — tam na pewno są skarby!

To wszystko było tak cudownie tajemnicze i dziwne, iż dzieciom wydało się, że śnią. Długo patrzyły na siebie w milczeniu błyszczącymi oczami i wszystkie razem, nad tą płytą pochylone, wyglądały jak jakieś elfy na straży u wrót śpiącej królowny.

— Trzeba podnieść płytę i zobaczyć — rzekła w końcu Rena.

— Nie... nie! — wykrzyknął Ali. — Ja nie chcę! Dostyc tego, to przecież wszystko żarty! Chodźmy już sobie, zimno mi.

— To wcale nie żarty! — oburzył się Tom. — Czyż nie widzisz na własne oczy tej płyty? Czyż nie czujesz sam doskonale, że tam muszą być skarby?

— Nie czuję, nic nie czuję! — odpowiedział Ali, po czym zamknął oczy, zacisnął pięści i tupał nogami w bezsilnej trwodze, wiedział już bowiem doskonale, że będzie musiał ustąpić.

— Ali, idź sobie z groty i powiedz *mademoiselle* Lucette, że bawimy się statecznie. Tak, najlepiej niech idą obaj z Tomem — rzekła Rena.

— Co! Ja mam sobie iść? — wykrzyknął Tom i rozplakał się, bo zresztą bał się także, tylko wstydził się przyznać.

Marta ujęła się za chłopcami:

— Nikt nie pójdzie — rzekła. — Ali siądź tu, daj mi rękę i nic się nie bój, zapewniam cię, że wszystko dobrze pójdzie. Tom, nie masz czego płakać tak obficie, nikt cię już nie wypędza.

Uspokoily się wzburzone umysły i zaczęto radzić:

— Żadne z nas nie podniesie tej płyty, jest za ciężka — rzekła Rena.

— Ale wszyscy razem podniesiemy. Spróbujmy.

— Jak? Za co tu chwycić? Nie ma nawet o co palcem zaczepić.

— Trzeba podważyć łopata, a potem sztabą żelazną — rzekł Nik.

— Ba, ale skąd wziąć sztaby?

— Och ty! A kociuba? — (kociubą nazywały dzieci pogrzebacz, posługując się miejscowym narzeczem).

— Aha! Doskonale, zrobimy tak: wyjdziemy wszyscy pokazać się *mademoiselle*, żeby nie była niespokojna, że nas za długo nie ma, przez ten czas Nik pobiegnie do domu i przyniesie kociubę i łopaty, ale tak, żeby nikt nie widział. Aha i świecę, bo ta się już dopala. Potem wrócimy tu cichaczem i do roboty.

Plan Reny uskutecznił natychmiast. Siedząca na tarasie opiekunka z przyjemnością konstataowała, że dzieci w całym komplecie spacerują między kwiatami spokojne i grzeczne, nie miała też nic przeciw temu, że znów zeszły w dół do parku.

Czekając na Nika, dzieci siadły u wejścia grotty i milczały przejęte powagą chwili. Obladowany Nik zjawił się niebawem. Dźwigał łopaty i kociuby, a z kieszeni wyglądała mu długa świeca. Przystąpiono do dzieła.

Jak można najgłębiej zasunięto łopaty w szczelinę między płytami i podważono bez wielkich trudności, zaczem w uchylenie zasunięto poziomo kociubę.

— Jeżeli coś stamtąd wyskoczy — rzekł drżącym głosem Ali — to ja umrę. Na pewno umrę.

— Nie umrzesz — odparł stanowczo Nik. — Zresztą co ma wyskakiwać? Skarby nie mają nóg. Trzeba było iść, jak prosiliśmy.

Ali z rezygnacją westchnął i stanął przy samym wyjściu, gotów w każdej chwili do odlotu. Toma wzięto do pomocy. Uchwycono z dwóch stron końce kociuby i podniesiono płytę w górę. Na widok czarnego, głębokiego jak studnia otworu, oczy rozszerzyły się, a serca zatrzymały na chwilę. Mocny, piwniczny zapach uderzył w nozdrza.

— Tam — wyszeptała Rena, wskazując palcem otwór — tam... nikt z nas nie pójdzie...

— Ja bym poszedł — zaproponował Nik, robiąc krok naprzód.

— Ani mi się waź! — wykrzyknął Olek, chwytając go za rękę — nawet nie próbuj! Dostyc i tak nabroiliśmy wczoraj.

— No, więc cóż zrobimy? — zapytała Marta.

— Zawołamy ludzi i...

— Nigdy! — zakrzyczał Nik — Za nic na świecie! My odkryliśmy skarb, my otworzyliśmy płytę, a ktoś przed nami ma tam wchodzić? Nigdy!

— No, więc cóż mamy robić? Nie pozwolę, aby które z nas tam zeszło. Mogą tam być studnie, węże, możemy wpaść i nie wydostać się więcej, nogi złamać. A zresztą tam pewnie nie ma czym oddychać!

— Musimy czekać, aż wyrośniemy — rzekł Tom bezapelacyjnym tonem.

Nik zaperzył się jak indor.

— Wszyscy jesteście tchórze i niedołądzy! Przecież nie możemy tego tak zostawić i pójść zajadać gruszki w sadzie albo bawić się w ciuciubabkę. Nie zasługujecie wcale na to, co was spotyka i od dziś wcale z wami nie mówię.

— Nik, nie denerwuj się — rzekła spokojnie Rena, podczas gdy Olkowi oczy z gniewu poczynęły błyszczeć. — Nie skacz jak kogut i posłuchaj, zrobimy tak: zamkniemy z powrotem płytę i przysypimy liśćmi i śmieciem, potem my zaraz wrócimy do Hołowina, wszystko opowiemy papie i pewnie z nim razem tu wrócimy. No, a papę chyba wpuścicie do groty, co?

— Wpuścimy — zgodzili się wszyscy i na nowo zasunięto kamień. Potem przysypano go liśćmi, ziemią, kamykami, by nic znać nie było i ruszono do domu. Jeden Nik ociągał się nieco i niechętnie ostatni wyszedł z groty. Przykro mu było, że kto inny wkroczy pierwszy do podziemnego królestwa, którego on był odkrywcą i czuł się panem.

ROZDZIAŁ XIII. O TYM, JAK JEDNI GRZESZĄ, A DRUDZY MAJĄ WYRZUTY SUMIENIA

— Jaśnie pan jest w swoim gabinecie — odpowiedział Reni stary kamerdyner Sylwester, gdy wyskoczywszy z breku, wbiegła do hallu.

— Czy sam?

— Pan hrabia telefonuje do miasta. Jest sam.

Renia zawahała się, skoro ojciec telefonuje, nie należy mu przeszkadzać, ale sprawa jest taka ważna!...

— Ali, idź do swego pokoju i czekaj na mnie. Idę do papy.

— Ale zawołasz mnie potem?

— Zawołam — i Renia, rzuciwszy na stół kapelusz i rękawiczki, poszła do ojca.

Już nie telefonował, siedział przy biurku i czytał jakieś papiery. Renia wsunęła się cicho i siadła naprzeciw w fotelu, czekając na odpowiedni moment. Niebawem ojciec skończył, odłożył papiery i zapytał:

— A co tam, kochanie?

Renia wstała szybko, zbliżyła się do ojca, oparła ręce na jego kolanach i rzekła:

— Mam coś ważnego do powiedzenia.

— Aaa... coś ważnego! — uśmiechnął się ojciec. — A no, to słucham, mów prędko.

— I wszystko to jest prawdziwa prawda, nic na niby.

— Ooo... zobaczmyż tę prawdziwą prawdę?

Renia postanowiła przedstawić rzecz bez wstępów:

— Odkryliśmy skarb — rzekła cicho, prawie do ucha ojca. Nie zdawał się bardzo zdziwiony ani przejęty.

— No proszę, i gdzież to?

— W grocie.

— Co? W grocie Matki Boskiej?

— Ależ nie, w Nizpolu, nie w Hołowinie. W tej starej grocie na końcu parku.

— No i cóż to za skarb?

— Jeszcze właśnie nie wiemy, bo tylko znaleźliśmy podziemie i nie możemy sami tam zejść,

i trzeba, żeby papo z nami pojechał i sam zobaczył.

Ojciec nareszcie zaczął okazywać zainteresowanie.

— Cóż to za podziemie? Opowiedz no wszystko od początku.

Wtedy Renia opowiedziała całe zdarzenie porządnie, nie opuszczając nawet ducha, ani ogórka.

— Trzeba zaraz tam pojechać i papuś z nami zejdzie, dobrze? — zakończyła.

— Pojedziemy, kochanie i zejdę z wami — zapewnił ojciec — ale sama chyba rozumiesz, że historia o duchu nie ma sensu i że w piwnicy tej znajdziemy najpewniej tylko kamienie.

— A cóż to była za postać, która znikła?

— Nie wiem, pojedziemy na miejsce i może się przekonamy. Dziś jednak nie mogę jechać, gdyż oczekuję interesanta z miasta. Odłożymy więc to do jutra rana — i ojciec pożegnał Renię pocałunkiem w głowę.

Renia wyszła zawiedziona. Nie wywołała należytego efektu swą nadzwyczajną tajemnicą.

Ojciec ani się przejął, ani nawet bardzo zacieka-
wił. Odłożył rzecz całą do jutra, a czyż podobna
z tak ważną sprawą czekać?

W złym humorze minęła pokój zwany uczel-
nią, gdzie czekał Ali, cierpko podzieliła się z nim
decyzją ojca i poszła do siebie. Położyła się na
błękitnej kanapce i myślała z irytacją:

— Starsi to w nic nie wierzą. Kazań sobie
wszystko mówić i opowiadać, ale jak powie-
dzieć, to śmieją się albo nie wierzą. Przecież
także nie jestem mała i byle co mnie nie dzi-
wi, ale każdy przyzna, że takie podziemie to nie
byle co! I tu czekać do jutra! Przez ten czas
ktoś może tam pójść, ktoś ze służby ogrodo-
wej i wszystko odkryć, zabrać! Nik miał rację,
trzeba było samym zejść. On jeszcze gotów to
zrobić! My wyjechaliśmy, Olek pojedzie może
w pole. Marta pora się¹⁰ ciągle w domu, a on
pójdzie, sam się spuści w podziemie i wszyst-
ko odkryje. Ach Boże! a mnie przy tym nie
będzie! Nik jest dzielny chłopiec, na pewno to
zrobi. Co tu wymyślić!

¹⁰porać się — trudzić się, zajmować się czymś. [przypis edytorski]

W tej chwili ktoś zapukał do drzwi.

— Proszę wejść — zawołała Renia głosem szorstkim. Drzwi się otworzyły i weszła Marietka.

Marietka była to siostra stryjeczna Reni, sierota, którą rok temu wzięli do siebie rodzice Reni jako opiekunowie. Podług życzenia swej nieżyjącej matki wychowywała się w klasztorze, na lato tylko przyjeżdżając do Hołowina. Była to dziewczynka cicha, blada, nieśmiała i miała oczy jak dwie wielkie gwiazdy. Uczyła się pilnie, z radością spełniała swoje obowiązki i chwyciła chciwie okazje, w których mogła się komuś przysłużyć. Jej to wąskie rączki stawiały na biurku stryja bukiety ulubionych kwiatów i wynajdywały na półkach biblioteki wybrane książki. Ona to jedynie wiedziała, co kto lubi, czym komu można sprawić przyjemność. Ona nacierała guzy i opatrywała skaleczone palce folwarcznych dzieci, oddawała im swoje cukierki i opowiadała nieskończenie piękne bajki. Jej to ręce ubierały kwiatami kaplicę, a jej płowa główka oparta na stopniach ołtarza duma-

ła smętnie o tym, jak wielkie jest miłosierdzie Boże i skarżyła się łzami cichutko, że tęskno jej niezmiernie do mamy. Służba uśmiechała się do niej, dzieci wiejskie z daleka biegły na jej widok, psy radośnie merdały ogonem, a koty, nawet te koty, co to chodzą własnymi drogami, wskakiwały na jej kolana i mruczając, tarły się o jej sukienkę.

Marietka jedynie znajdowała w krzakach wypadłe pisklęta i wkładała je na powrót do gniazdka, wylawiała z wody topiące się od ciężaru swego ładunku pszczoły, godzinami stała nad mrowiskiem, patrząc na dalekie drogi pracowitych mrówek. Nie bawiła się z dziećmi prawie nigdy, miała sobie swoje własne sprawy, zresztą dzieci nie lubiły się z nią bawić, bo była roztargniona, zanadto łagodna i zawsze zamysłona. Jeden Ali, który lubił łatwe zdobycze i któremu z racji młodego wieku nieczęsto zdarzało się przewodzić, od czasu do czasu zaszczycał Manetkę swym towarzystwem, kładąc jej w zabawach odgrywać podrzędne role.

Rena w ogóle była niezłą dziewczynką. Będąc jednak charakteru gwałtownego, lubiła wyładować na kimś swoją złość. Najczęściej w takich razach obrywał Ali, każdy jednak, kto się nawinął pod rękę, stawał się ofiarą jej złego humoru, bez względu na wiek i stanowisko. Smutny bywał wynik tych burz dla ich sprawcy — cóż, kiedy nie umiała się powstrzymać i w chwilach gniewu zapominała o wszystkim. Marietka zaś przyszła w najlepszych zamiarach. Spotkawszy w ogrodzie Alego, dowiedziała się od niego o całym zajściu i planach odłożonych na jutro, natychmiast więc udała się do dziecinnego pokoju z zamiarem pocieszenia Reni, zirytowanej odpowiedzią ojca.

Rena spojrzała na wchodzącą z wysoka, wzrokiem obojętnym i spytała:

— Czemu nie pojechałaś z nami do Nizpola? Szukaliśmy cię, jadąc. Coś robiła cały rano?

— Ja... nic ciekawego — rzekła Marietka, od razu oblana rumieńcem — ale Ali mi opowiadał, że wy...

— Naturalnie! — wykrzyknęła Rena, z oburzenia, siadając gwałtownie — Naturalnie! Ten bęben musiał wszystko wygadać, a ty nie będziesz miała nic lepszego do roboty jak opowiedzieć to *mademoiselle*! Może już powiedziałaś?

— Ależ nie... Reniu... ależ nie. Ja nikomu nie powiem — rzekła przerażona Marietka.

— Właśnie, że powiesz! Dlaczego miałaśbyś nie powiedzieć? Alboż to twoja tajemnica? Cóż cię to może obchodzić? — wołała Rena zła w tej chwili i niesprawiedliwa — Czyż nie dokuczasz nam zawsze, jak możesz? Nic, tylko cały dzień się słyszy: „Patrz, Marietka to, patrz, jak Marietka tamto, *regardez Marie, comme elle est sage, comme elle est laborieuse, comme elle est soignée*¹¹”. Obrzydliwość!

Pod gradem słów Reni Marietka zbladła i chwilę stała bezradnie na środku pokoju. Potem z głową pochyloną pod ciężarem jakiejś

¹¹*regardez Marie, comme elle est sage, comme elle est laborieuse, comme elle est soignée* (fr.) — patrzcie na Marię, jaka ona jest mądra, jaka ona jest pracowita, jaka ona jest dobrze wychowana. [przypis edytorski]

niewiadomej winy, w którą już uwierzyła, wyszła cichutko.

Powoli schodziła ze schodów, myśląc:

„Jestem niedobra i niedelikatna. Renia ma zmartwienie, a ja poszłam jej przeszkadzać. Zmusiłam Alego, aby mi opowiedział tajemnicę, a teraz będą się na niego gniewać. Och mój Boże, mój Boże, mam zły charakter!”

Pogrążona w skrusze zapomniała, że do Reni poszła, aby ją rozerwać i że Ali niepytany opowiedział jej wszystko i nie prosił o tajemnicę.

„Cóż ja teraz zrobię?” — myślała Marietka, idąc brzegiem rabaty róż, których rozkwitłe pachnące kwiaty chyliły się zmożone południowym blaskiem słońca. Machinalnie stanęła obok krzaków i zaczęła oglądać, czy nie ma na listkach liszek. Zgładziła jedną, drugą, ale obciążone sumienie nie dało jej spokoju. Poszła więc dalej, ocierając fartuszką duże, ciche łzy, które płynęły obficie z jej gwiazdzistych oczu.

„Cóż ja teraz zrobię? Renia się na mnie gniewa i nie mam nawet nic na swoją obronę. Zawsze byłam roztargniona i niedelikatna”.

Rozmyślając tak, schodziła uliczką w dół, w głąb parku. Na mostku łączącym brzeg z wyspą zatrzymała się chwilę, popatrzyła w wodę i poszła dalej.

Wysepka była okrągła jak talerz, nieduża i śliczna. Wiankiem obrosły ją olbrzymie, prastare wierzby, których długie, wielkie wicie kąpały się w wodzie. Środkiem cała wygracowana, krąg miała tylko ukwiecony, wiosną konwaliami, latem lilią białą i czerwoną. Trochę z boku, jakoby na straży jednego z dwóch mostków łączących wyspę z parkiem, stała olbrzymia, nadwiślańska topola, tak gruba, że wszystkie z Nizpola dzieci wraz z hołowińskimi z trudnością obejmowały ją wokoło. Między dwiema sędziwymi wierzbami, koło mostku znajdowała się przystań, przy której kołysały się na zamkniętych kłódkami łańcuchach dwie łódki.

Marietka zeszła do jednej z nich, siadła przy sterze i zamyśliła się smutnie.

Wcale nikomu nie jest potrzebna i nikt jej nie kocha. Najlepiej by było, gdyby umarła. Gdyby tak teraz na przykład wiatr zadał i łódka się przewróciła, a ona, Marietka poszła na dno. No, wprawdzie tu jest za płytko. Ale gdyby tak wypłynęła na środek i utopiła się na dobre. Jak tatuś! Jak tatuś, który zginął, ratując topiącego się furmana. Co by to była za radość dla rodziców! Siedzą sobie w niebie, o niczym nie wiedzą, aż tu cichutko wsuwa się Marietka. Rzuca się мамie na szyję, całuje jej białe ręce, płaczą z radości! Tatuś wysoko podrzuca ją na rękach, jak wtedy, gdy była malutka. Robi się z radości taki gwałt, że aż Pan Bóg się pyta, co się stało?

Nagle Marietka przypomina sobie, że tak obarczona grzechami nie poszłaby zaraz do nieba. Czeka ją czyściec, jeśli nie piekło! Chociaż w to piekło to nie bardzo Marietka wierzy. Bo cóż by to było za szczęście ludzi zbawionych w niebie, gdyby wiedzieli, że są tacy nieszczęśliwcy skazani na wieczne męczarnie? Nie, Pan

Bóg nie zniósłby piekła i jakoś to z tym jest inaczej. Marietka chowa twarzyczkę w dłonie i modli się z całych sił do jedynego Boga, żeby nie było piekła.

Ale oto z góry posłyszała jakiś tętent, więc wykręciwszy się w łódce, spojrzała w stronę pałacu. Po ścieżce od strony tarasów biegł Ali. Musiał być właśnie rasowym koniem, bo nogi stawiał z góry i wyrzucał pokrytą kędziorami głową. Jako wprawny jeździec zbiegał ostrożnie, zwalniając przed mostkiem. Gdy białe trzewiczki zadudniły na drzewie, Marietka zawołała: „Ali” i jeździec z koniem stanęli jak wryci.

— Co tam robisz, Marietko? — zapytał, włącząc na barierę mostka i pochylając się nad wodą.

— Patrzę w wodę — odparła.

— Jest tam co ciekawego?

— Owszem. Woda przezroczysta jak szkło, widać kamienie, rośliny i przeróżne żyjątka, latają tu też łątki niebieskie. Są prześliczne!

— Czy wiesz — rzekł Ali, przypominając sobie coś nagle — czy wiesz, że tu na dnie leży kolumna?

— Co takiego?

— Kolumna! Może ją nawet widać teraz, jeżeli woda taka przezroczysta. Widać, co?

— Nie widać żadnej kolumny, ale dlaczego ma tu leżeć w wodzie?

— Bo widzisz, to było tak — objaśnił Ali. — Tu dawniej nad samą wodą stała labradorska kolumna z naszej kopalni. Na wierzchu była urna i w niej kwiaty. Pewnie glicynie — dodał — a może storczyki, a może azalie, tuberozy, portulaki, begonie, hiacynty, pelargonie, petunie, cyklameny...

Ali pasjami lubił kwiaty i ich nazwy, uczył się ich z zapałem i wyliczał przy każdej sposobności.

— Ali, co ty wygadujesz? — roześmiała się Marietka.

— No więc niech będzie, że były tam anemony na wiosnę, a nasturcje w lecie. Dość, że

jednego razu był straszny deszcz, ale po prostu straszny... potop!

— To nie mógł być potop — przerwała Marietka — potop był tylko jeden, za czasów Starego Testamentu.

— Nie wiem, czy to był wtedy stary testament, bo byłem jeszcze bardzo mały — rzekł naiwnie Ali.

Marietka zaśmiała się znowu, ale by nie obrazić Alego, rzekła szybko:

— No i cóż się stało?

— No i stawy wylały, i cała wyspa była pod wodą. Ale to zupełnie nie było ziemi widać, drzewa stały po kolana w wodzie. No i ta woda tak podmyła brzegi, że kolumna przewróciła się do stawu i leży tam sobie!

— I dlaczego jej nie wyciągnęli potem?

— Strasznie ciężka, zresztą, czy ja wiem? Dość, że leży! — tu Ali znudzony już bezczynnością oraz swym opowiadaniem, zeskokczył z bariery, zamienił się z powrotem w konia i zbiegł z mostka, wyrzucając nogami.

Ale Marietka zawołała go do łódki.

— Słuchaj Ali — rzekła zmartwionym głosem — zdaje mi się, że Renia będzie się na ciebie gniewała za to, że opowiedziałeś mi o tajemnicy.

— Nie boję się panny Renaty — rzekł lekceważąco Ali, co tak niepomiernie zdziwiło Marietkę, że oczy jej zrobiły się duże jak spodki.

— Nie boję się Reni — powtórzył Ali — ani nikogo na świecie. Jestem księciem Józefem — dodał poufnie, nachylając się do jej ucha. Potem pełen swobody i niefrasobliwej godności wyszedł pewnym krokiem z chwiejącej się łódki.

ROZDZIAŁ XIV. PIERWSZY PRZEKOP

Nazajutrz Rena weszła do pokoju Alego i rzekła podrażnionym głosem:

— Ali, papa pojechał do miasta, nie może być dziś z nami w Niżpolu. Jedziemy sami.

Ali się zmartwił.

— Więc znów nic nie będzie z tajemnicą?

— Zobaczymy — odparła Rena i poszła po kapelusz, bo kuce zajeżdżały pod ganek.

Przez drogę milczeli oboje, trochę przez wzgląd na obecność *mademoiselle*, a trochę, bo byli w złych humorach. Dopiero gdy w oddali zarysowała się brama Niżpoła, Ali rzekł:

— Tom siedzi na bramie — Rena spojrzała bystro.

— Prędzej Marta — odparła — czerwona sukienka.

— Nie, Tom! — uparł się Ali. — On ma także czerwone ubranie.

— Może być — zgodziła się Rena, dostrzegłszy już krótką czuprynkę Toma.

Tom zaś od rana na bramie sprawował czaty. Miał rozkaz uprzedzenia o przyjeździe oczekiwanych gości. Nim się jednak opatrzył i zwinął ze szczytu bramy, już kuce hołowińskie zadudniły na mostku.

— Jak się masz! — krzyknęła mu w przejeździe Rena, nie zatrzymując kuców.

Tom stropił się tym bardzo, myślał bowiem, że wezmą go z sobą, wobec jednak ważności

chwili odłożył urazę na inny dzień i puścił się galopem śladami wózka.

Kiedy dopadł pod filary, już całe grono dzieci debatowało smutnie nad uczynionym przez wujka zawodem. Zeszli wszyscy aż do parteru kwiatowego, aby nie być słyszanyymi przez opiekunkę i tam Rena rzekła:

— Ja się zdecydowałam. Ponieważ papa nie przyjechał, musimy pójść sami. Nie można z tym dłużej czekać!

— Nie można! — odpowiedziało chórem pięć głosów.

— Tedy¹² chodźmy! — ruszył się żywo Olek, ale Nik rzekł:

— Zaraz, tylko musimy mieć ze sobą różne rzeczy. Idźcie więc powoli do groty i czekajcie, ja zaś z Tomkiem przyniesiemy co potrzeba i uporamy się z *mademoiselle*. Już wszystko mam przygotowane.

— Dobrze — odparły dzieci, z uznaniem patrząc na Nika, który wykazywał tyle zapobiegliwości.

¹²tedy (daw.) — zatem, a więc. [przypis edytorski]

Poszli więc wolno w stronę groty, gwarząc po drodze.

— Myślałam o tym całą noc — mówiła Rena — i wiesz, Olku, do jakiego doszłam wniosku?

— No? — zapytał Olek.

— Że nie znajdziemy skarbów żadnych. Tak! Takie rzeczy trafiają się w powieściach, wątpię jednak, czy w życiu również.

— Powieść jest obrazem życia — rzekł Olek sentencjonalnie. Marta zaś dodała z zamyśleniem:

— Jeżeli tam skarbów nie ma, to może jednak i tak znajdzie się coś ciekawego i pożytecznego.

— W każdym razie — podjęła Rena — całe to zdarzenie nie jest pospolite i wątpię, czy często się dzieciom coś podobnego przytrafia. Nie mogę powiedzieć, że bym się bała tego, co nas w podziemiu czeka, ale jestem jakby zaniepokojona i jest to bardzo przyjemne uczucie.

Ale Ali skwapliwie skorzystał z tej wzmianki i wykrzyknął z triumfem:

— Boisz się, pewien jestem, że się boisz, więc nie zejdziemy do groty!

— Nie boję się niczego, ty mały tchórze!
— rzekła pogardliwie Renia. — Ale jeżeli chcesz, będziemy mogli zostawić cię w grocie.

Doszli tymczasem do owej groty i zasiedli u jej wejścia w oczekiwaniu na Nika.

— Może to być studnia, a może dawna piwniczka na wino — rzekł Olek.

— Kto wie jednak? Może któryś z naszych przodków zakopał tam swe drogocności przed najściem wroga — poddała Renia; na widok tajemniczej poezji groty nabrała wiary i nadziei. Ale Marta, która nie lubiła bezużytecznych rozmyślań, rzekła:

— Po cóż to zgadywać i tak za chwilę się dowiemy.

Zapanowała więc cisza pełna świergotów ptaków, brzęczenia much i bąków, radosnych gwizdów wilg. Taka pełna tajemniczego życia cisza parku. Dzieci bezwiednie zatopiły się w niej, przytłumiając oddechy. Nagle Ali rzekł głosem zbolalym:

— Ale jeśli mieszkają tam złośliwe karzełki, które znęcają się nad niegrzecznymi dziećmi, to nie wydacie mnie? Prawda, że nie?

— Nieszczęsny chłopcze! — wykrzyknęła Rena. — Cóżeś zrobił? Jestem pewna, że coś zbroiłeś!

— Tak — przyznał się Ali pokornie — zbiłem wczoraj twojego pieska z Kopenhagi, ale jestem pewien, że nie będziesz się na mnie gniewała, Reniu, bo przyznałem się do winy.

Ale Rena wcale nie była pewna, bo strasznie jej się żal zrobiło ślicznego pieska z porcelany i może byłaby wybuchnęła, gdyby Nik z Tomem nie wyrosli przed grotą jak spod ziemi. Wszystkie dzieci powstały natychmiast, ale Nik obładowany i uroczysty rzekł:

— Siądźcie jeszcze, bo musimy ułożyć plan działania.

Uznawszy rację tego zdania, dzieci siadły, a Nik rzekł znowu:

— Niech każdy po kolei powie swój plan, a potem wybierzemy, który najlepszy.

Okazało się jednak, że nikt nie pomyślał o planie. Nik więc rzekł skupiony i poważny:

— Myślę, że tak będzie najlepiej: najpierw podzielimy się ładunkiem, Marta weźmie świece i zapalki, Olek i ja łopaty i kociuby, Renia drabinę sznurową, Tom słomę, a Ali to zawiątko. Potem wejdziemy do groty i staniemy kręgiem nad płytą tak jak wczoraj. Olek, Renia i ja podważymy płytę. Potem Marta zapali tę świecę i spuścimy ją na sznurku do wnętrza, tym sposobem przekonamy się, czy na dnie jest powietrze i czy jest głęboko. Następnie zapalimy wiecheć słomy i wrzucimy do środka, żeby oczyścić powietrze. Gdy się wypali, po drabinie spuścimy się w dół i tam zobaczymy już, co dalej robić.

Nastała chwila ciszy, aż Renia rzekła:

— Plan uważam za dobry i nic nie mam przeciwko niemu.

— I ja — odpowiedziały cztery zgodne głosy — zatem chodźmy.

— Czekaście jeszcze — zaprotestował Nik — trzeba teraz wybrać dowódcę, którego wszyscy słuchać będziemy. Ja głosuję za Olkiem.

— A ja za Nikiem — rzekła Renia.

— Ja za Renią — oświadczył Olek z galanterią.

Ali wybrał Martę, a Tom rzekł skromnie:

— Sądzę, że byłbym dobrym dowódcą.

— Co za bezwstydnym zarozumiałem! — wykrzyknęły dzieci, a Olek dodał:

— Dymitr samozwaniec czy coś gorszego.

Tom obraził się śmiertelnie, bo Dymitra zniósłby jeszcze, ale „coś gorszego” nigdy! Nikt jednak nie zwracał uwagi na jego dąsy, bo Nik rzekł znowu:

— Na nic to wszystko! Głosujmy jeszcze raz przez podniesienie ręki. Proponuję znowu Olka — i podniósł rękę.

Tym razem wszystkie ręce podniosły się na znak zgody, za wyjątkiem ręki obrazonego Toma i skromnego Olka. Ali jednak podniósł dwie, więc wszystko było w porządku.

Zatem zabrano się do dzieła podług planu i bez dalszej zwłoki. Gdy odwalona płyta ukazała dzieciom po raz wtóry otwartą paszczę podziemia i gdy płomyk świecy począł coraz niżej opuszczać się w ciemnię, wszystkie serca ogarnęła niecierpliwa trwoga. W głębokiej ciszy Marta odwijiała sznurek ze swej ręki, opuszczając na nim świecę, a sześć par oczu nie odrywało się od nikłego płomyka.

— Świeca się zatrzymała i nie wisi już na sznurku — rzekła Marta.

— Dobrze — twardo, jak przystało na woźdza, odparł Olek. — Posuwaj teraz świecą po dnie. Jak się zdaje, jest dość równo, co?

— Zdaje się.

— Dobrze. Wyciągaj świecę. Tom, daj tu słomę.

Własną ręką zapalił twardo zwinięty wiecheć i cisnął go na dno. Płomień buchnął jasno i oświecił na chwilę jakieś chropowate i ciemne ściany, zaraz jednak wyrzucił kłęb dymu, aż dzieci musiały cofnąć się ku wyjściu. Nagle Nik rzekł:

— To wszystko dobrze, ale jak teraz przytwierdzimy drabinę?

Zastanowiono się głęboko.

— Może wbić gwóźdź i zaczepić sznury drabinki — poradził ktoś.

— Tak, tylko w co wbić? Podłoga kamienna, ściany z kamienia.

— Może przycisnąć pętlę drabinki kamieniami?

— Ech... głupstwo, nie utrzyma.

— Cisza — rzekł Olek — ja wiem jak. Daj tu swoją kociubę, Niku, tak doskonale! Jest dużo dłuższa niż szerokość otworu.

To mówiąc, Olek nawleknął pętlę drabinki na kociubę, przerzucił ją przez otwór i spuścił drabinę w dół. Gdzieś głęboko stuknęły sznury o ziemię.

— Brzegi się nie obsuną, bo są kamienne, a kociuba nie pęknie pod ciężarem żadnego z nas. A teraz w dół!

— Będziemy losować, kto pierwszy zejdzie — zaproponowała Renia.

— Nie będziemy losować, jestem wodzem i wszystko ode mnie zależy. Odpowiadam za was wszystkich, więc pierwszy powinienem narażać się na niebezpieczeństwo.

— To bardzo stara metoda — rzekła drwiąco Renia — mój drogi Olku! to w starożytności wodzowie szli na czele hufców i ginęli. Dzisiaj z dalekiego i bezpiecznego miejsca wysyłają przez adiutantów rozkazy.

Ale Olek nie podjął dyskusji, skarcił Renię wzrokiem i rzekł:

— Marto, opuszczaj świecę i bądź tak dobra, nie podpal mi włosów. Za mną zejdzie Tom, potem Renia, potem Ali, Marta, a na końcu Nik. Do widzenia. — To rzekłszy, oparł się rękami o brzegi otworu, spuścił nogi i wolno zszedł w dół po chwiejącej się w powietrzu sznurowej drabince.

W ciszy zupełnej jedno za drugim, dzieci spuściły się w otwór ciemny i znalazły się w dość dużej, sklepionej piwniczce, z której w przeciwnie strony rozbiegały się dwa ciemne

korytarze i ginęły w nieprzeniknionych mro-
kach.

Piwniczka miała ściany chropowate, szare, w kamieniu ciosane czy też obmurowane, z gó-
ry przez otwór w grocie sączył się słaby stru-
myk światła. Świece w rękach dzieci drżały.

— Ba, co tu teraz robić? — rzekła Marta.

— Jak to co robić? Pójdziemy dalej poszu-
kiwać — wykrzyknął Nik, któremu świeciły się
oczy jak dwa rozżarzone węgle.

— Tak, ale w którą stronę?

Nagle Tom wysunął się na środek i rzekł
grubym głosem:

— Możecie mnie zabić, jeśli chcecie, ale
wychodząc z domu, zostawiłem na stoliku kart-
kę z napisem: „schodzimy w dziurę w grocie,
jeśli nie wrócimy, można będzie nas tam zna-
leźć umarnięte”.

— Zły chłopcze! Gdzieżeś zostawił tę kart-
kę? — wykrzyknął groźnie Olek, podczas gdy
Renia pokładała się ze śmiechu.

— Na swoim stoliku, powiedziałem — rzekł
niezłomnie Tom.

Olek się uspokoił:

— Nie tak prędko znajdą — rzekł i dodał po chwili — Tomie, postąpiłeś sobie samowolnie i będziesz w odpowiedniej chwili ukarany.

— Przepraszam — wykrzyknął z oburzeniem Tom, ale wtenczas jeszcze nie byłeś wodzem i nikt nie rozkazywał! Każdy robił co chciał! Owszem, możecie się znęcać nade mną, ale ukarać nie!

Olek pokiwał głową, pełen wyrozumiałej litości.

— Och, Tomku — rzekł — jesteś tak głuputki jak Puś. Kto tam ma ochotę znęcać się nad tobą? Ale dosyć o tym. Trzeba się rozpatrzyć w sytuacji. Ten korytarz prowadzi na lewo, to znaczy w stronę rzeczki Bystryjówki i wsi. Ten na prawo, a więc w stronę lasów i zamku kamienieckiego. Najpierw idźmy na lewo. Naprzód, za mną!

Korytarz był wąski, niski, czarny. Ściany, których dzieci dotykały rękami, były miejscami kopane w ziemi twardej i wilgotnej, miejscami

niby w kamieniu wykute. Na ziemi pod ścianami leżały zbite grudy i kamienie, środek jednak robił wrażenie udeptanej ścieżki. Przekop szedł równo bez zakrętów ni załamania, coraz niższy, węższy i z lekka w dół. Dzieciom szło się łatwo, prędko, niby po znanej, uczęszczanej drodze.

— Reno, czy ci się nie wydaje, że tu jest za porządnie i za łatwo, na stary, zapuszczony loch — rzekł Olek, który kroczył pierwszy, ze świecą w ręku.

— Tak — odparła smutnie — w istocie wygląda to, jakby tu ktoś często chodził.

— Naturalnie — zawołał Nik z końca — skoro widziałem kogoś w grocie! Bez tego nic dotychczas nie wiedzielibyśmy o przekopie.

— Przecież to miał być duch! — rzekł szyderczo Tomek.

— Mógł być duch, a mógł być także ktoś, kto się tędy dostawał do parku, zamiast przełazić przez mur, który jest wysoki, z drutem kolczastym na wierzchu.

— Taki świeży powiew, jak gdyby niedaleko było wyjście — zauważyła Marta.

Szli coraz dalej, szybciej i wyraźniej w dół. Ali, który miał krótkie nogi, biegł prawie między Martą a Nikiem, zamknąwszy oczy i zaciśnąwszy zęby, uważał bowiem, iż jest to jedyny sposób, aby się nie bać. Ali w duchu zrezygnowany już był na śmierć i lada chwila się jej spodziewał z rąk jakichś czarnych, niewidzialnych mocy. Ścisnął z całych sił w rękę warkocz Marty, za którą stąpał, i heroicznie postanowił nie wypuścić go pod żadnym pozorem. Od czasu do czasu, potknąwszy się, szarpał go silnie, ale Marta zbyt była dobra, by żądać od Alego większej samodzielności i hartu ducha. Sama czuła się też niezbyt pewnie w tym czarnym, długim przekopie, tak podobnym do jakiegoś złego snu lub więzienia z bajki. Od czasu do czasu nadeptywała na pięty Tomka, który usuwał się z godnością i każdym krokiem wyniosłym akcentował swoje złe stosunki z resztą dzieci.

— Nastąpiłem na żabę — rzekł nagle tonem wysoce obojętnym.

— Ach, mój Boże! — skoczyła z obrzydzeniem i litością Marta, ale w tejże chwili, Olek świecą i nosem uderzył w ścianę i odwróciwszy się w bok, ujrzał, iż korytarz pod kątem prostym zawracał na prawo i prawie natychmiast kończył się bardzo wąską szczeliną, przez którą sączyło się światło.

— Korytarz zawraca na prawo — rzucił za siebie głosem ostrzegawczym. — Uwaga!

Doszedłszy do szczeliny, podał świecę Renie, a sam na czworakach wyczołgał się na zewnątrz. Za nim poszli wszyscy.

I oto znaleźli się niespodzianie w pełnym słońcu nad samym brzegiem rzeczki, między jej kamieniami na piasku. O kilkaset kroków, poprzez trawy i łozy, widniała wieś, a w dali na lewo potężne kontury ukochanego parku.

Stali więc między kamieniami, w miejscu tysiąc razy znanym, tak blisko domu, mrużąc oczy od światła, zdziwieni i zawiedzeni.

— To nic — wykrzyknął nagle Nik, wyraził tajnych myśli wszystkich — to nic! przecież jest jeszcze drugi przekop!

— Tak — rzekli z ulgą Olek i Renia — jest drugi korytarz i tam dopiero będą skarby.

Ale Alego opanowała nagle dzika radość. Oswoiwszy się ze słońcem i nadzieją życia, zaczął rzucać się dzieciom na szyję, skakać po piasku i wykrzykiwać na nutę: „Jeszcze Polska nie zginęła” — „tu jest rzeczka, tu są kwia...a...ty i tu są kamienie”.

— Ali, powściągnij swoją radość — rzekła Renia, gdy po raz trzeci obrywał jej kołnierz w ataku czułości — i podnieś lepiej swoje zawiniątko, które upuściłeś na ten kamień. Niku, nie powiedziałaś nam jeszcze, co jest w tej paczce?

— I nie powiem, bo jeszcze nie czas.

— Tak, ale my chcemy wiedzieć! — rzekł z naciskiem Olek.

— Pozwól mi nie mówić — poprosił Nik. — To jest coś na czarną godzinę.

— Dobrze więc — zgodził się Olek, ujęty pokorą hardego Nika. — A teraz ruszajmy z powrotem.

I pożegnawszy spojrzeniem wieś tonącą w słońcu, niebieską wstęgę rzeczki okoloną kępami drzew, pola dalekie, zielone, żółte, białe, siną dal lasu i bukiet wyniosłych, mocarnych drzew niżpolskiego parku, wsunął się pierwszy w szczelinę przekopu. Ociągając się, poszły za nim kolejno dzieci, z żalem odwracając oczy od światła i radości dnia.

Ali miał noc w sercu i rozpacz zawiedzionych nadziei. Jeden Nik zagłębił się w ciemność z radością i ochotą. Miał bowiem głęboką wiarę ujżenia cudów.

ROZDZIAŁ XV. DRUGI PRZEKOP

Ciemność jest rzeczą przykrą. Pozbawia nas widoku tego, co nas otacza, zaś w każdej otaczającej rzeczy można dostrzec coś pięknego lub zajmującego. Przykro jest również nie wiedzieć, czy się lada chwila nie trafi głową w coś twardego, nie być pewnym swego kroku, który naraz może trafić w próżnię. Przy tym ciemność jest straszna i każdy się jej nieco boi, choć nie

znam chłopca, który by się nie obraził śmiertelnie, gdyby mu tchórzostwo zarzucono.

A jednak są rzeczy, których się boją najodważniejsi ludzie i nie na tym polega odwaga, by się wewnątrznie nie bać, lecz na umiejętności pokonania tego uczucia. Iluż to było i jest bohaterów, którym przy wykonywaniu odważnego czynu serce biło z trwogi — a jednak nie wahali się. I to jest właśnie prawdziwa odwaga. — Boję się, bo nie w mojej mocy się nie bać, ale mimo to uczynię tak, jak gdybym się nie bał!

Ali nie powiedział dosłownie tego zdania, ale coś w tym rodzaju, powiedział bowiem:

— Boję się, ale pójdę z wami, bo muszę.

Dzieci sunęły znów naprzód ciemnym korytarzem, tym razem jednak wolniej, bo pod górę i rozglądając się uważnie wśród mroku. Każdy na swoją rękę badał ściany, sklepienie, ścieżkę, którą szli. W jakimś miejscu Rena znalazła jabłko zielone, przegniłe, gdzie indziej znów Tom podniósł z ziemi triumfalnie, choć milcząco, jakiś duży przedmiot, wokoło którego

skupiły się dzieci. Była to ni mniej ni więcej tylko książka Nika: „Chata wuja Toma”, która parę tygodni temu zginęła z ławki w ogrodzie. Pokrywały ją kurz i pleśń, a wszystkie obrazki były z niej starannie powyrywane. Odkrycie to napełniło dzieci przekonaniem, iż przekop jest miejscem uczęszczanym i posiadającym właściciela. Prawdopodobnie któreś z wiejskich dzieci, pasąc bydło na nadrzecznej łące, spenetrowało otwór przekopu i wtedy znalazło drogę do otoczonego murem parku.

Olek i Rena poczuli się tym prawdziwie dotknięci, ale Nik nie tracił nadziei.

— Cóż z tego — rzekł — że tutaj ktoś chodzi? Zobaczycie, że szukając, natrafimy na coś ciekawego.

— Może znów zjawi się jakiś duch albo ogórek! — rzekła zjadliwie Rena.

Tymczasem wkroczone z powrotem do piwnicy, od której rozpoczęły się poszukiwania. Zatrzymano się na środku niezdecydowanie.

— No, idźmy w prawy przekop — rzekł rażno Nik.

— Może późno już? — nieśmiało zauważyła Marta. — Może już czas na obiad?

— Ech! Jak raz stąd wyjdziemy, to już nie dadzą nam tu wrócić samym — machnęła ręką Renia.

Olek się jednak wahał.

— Ja także myślę, że już późno — rzekł niepewnie. — Po obiedzie...

— Nie, nie — wykrzyknął gorąco Nik — nie możemy przerwać tego tak pośrodku! Przecież to nie jest zwyczajna sobie zabawa! Wcale nie. Tu może chodzi o coś ważnego, może jesteśmy przeznaczeni, by zrobić wielkie jakieś odkrycie! Takie zdarzenie nie trafi nam się drugi raz w życiu, możecie być pewni!

Zapał Nika udzielił się nagle wszystkim, nawet Tom raczył powiedzieć:

— Przychyłam się do zdania Nika.

Zaczem ruszono naprzód, w tej samej jak poprzednio kolei.

Ale tu sprawa była trudniejsza. Przede wszystkim przekop szedł w górę, wąski, kręty i niski. Co chwila ktoś się potykał i padał, nabijając

sobie guza. Po kilkudziesięciu takich krokach idący przodem Olek stanął i rzekł:

— Tu jest koniec.

Dzieci poruszyły się niespokojnie:

— Jak to? Nie może być! Tak blisko! Ot taki sobie koniec? Cóż znowu! To niepodobna!

Nik wysforował się naprzód, wcisnął między Olka i Renię i patrzył. Był to w istocie dziwny koniec, nawał grud, kamieni, ziemi. Jakieś deski spróchniałe, potrzaskane gałęzie. Wszystko narzucone, jak gdyby pod wpływem wstrząśnienia.

— Mam wrażenie — rzekł Nik po długiej chwili niemego bezradnego przyglądania się rumowisku — mam wrażenie, że nie jest to prawdziwy koniec przekopu. Czyż byłby tak bezcelowy i krótki?

— Może roboty nagle przzerwano z jakichś powodów — rzekł Olek.

— Nie — zaprotestował Nik — ja sędzę, że raczej ktoś kiedyś chciał umyślnie zamaskować dalszy ciąg korytarza albo że przekop zawalił się tu kiedyś i zrobiła się ta oto zaporą.

— Głupi jesteś — rzekł spokojnie Olek — gdyby się zawalił, to byłaby z wierzchu dziura. Czy przypominasz sobie jaką dziurę na naszych polach?

— Nie ma żadnej dziury na naszych polach — kategorycznie zdecydował Tom.

Tymczasem Renia siadła na jakimś głazie i oznajmiła, iż póki się namyśla, czy jest czy też nie ma dziury, ona sobie wypocznie. Marta zaproponowała odwrót, a Ali boleśnie, aczkolwiek z rezygnacją wygłosił przypuszczenie, że pewnie już jest po obiedzie. Olek zaś rzekł z namysłem:

— Przykro mi bardzo, ale może masz rację, Niku. Przypominam sobie, że w lesie kamienieckim po drodze do zamku są wielkie nierówności gruntu, wyrwy i doły. Tam się właśnie zaczynają pokłady labradorowe. Może być, iż kiedyś zawalił się tu przekop i spowodował nierówność gruntu, która wśród dzikiego jaru i jego poszarpanych ścian nie zwróciła niczyjej uwagi.

— Tak — wykrzyknął triumfalnie Nik — Olku drogi, na pewno masz rację. Więc do roboty! — zaproponował ochoczo.

Nie zastanawiając się nawet nad niebezpiecznym trudem rozpoczynanej pracy, ani nad tym, że jeśli w istocie przekop się tu zawalił, to zniesienie zapory przechodzi ich siły i możność, dzieci nową ożywione nadzieją zabrały się do odrzucania łopatomi nawalonej ziemi.

Był to trud nie lada. Ziemia twarda jak kamień, nawał śmieci, drzazg, kamieni, nieraz za ciężkich na parę dziecinnych rąk. Pracę znakomicie zorganizował Olek. W pierwszym rzędzie sam z Nikiem i Reną w pocie czoła szarpał łopata ziemię, Marta i Tom odrzucali ją dalej Alemu, który powoli i systematycznie układał bokami przekopu. W głębokiej ciszy czarnego korytarza oświetconego tylko trzema świecami, brzęczały łopaty, z szelestem opadała ziemia i staczały się kamyki. Odpoczywając z rzadka, dysząc ciężko, przystając na chwilę, by obetrzeć pot kroplisty, pracowały dzieci.

Nikt nic nie mówił. Każde słowo zdawało się zbyteczne przy wysiłku tak wielkim.

W jakiejś chwili łopata Reni głucho stuknęła w deskę. Odgarnąwszy jeszcze trochę ziemi, Renia ujęła ową deskę obiema rękami i szarpnęła z całych sił. Ponieważ spodziewała się dużego oporu, a spróchniała deska natychmiast pękła w jej rękach, Renia straciła równowagę i z wysokości, na której pracowała, runęła w dół.

Całe szczęście, że wtenczas właśnie Marta odwrócona do niej plecami odrzucała ziemię, przyjąwszy bowiem na plecy ciężar Reni, upadła tylko na kolana, a nie na wznak. Obie jednak potłukły się boleśnie, a cała ta przygoda tak wielkiego narobiła zamieszania, iż na razie nikt nie spostrzegł, iż zza wyrwanej deski widniał czarny, wiejący chłodem otwór.

Pierwszy spostrzegł go Ali i uprzedzając starsze dzieci, wygramolił się na górkę gruzów i spojrział ciekawie, w tejże jednak chwili wrzasnął przeraźliwie i zamknął oczy. Wszystkie dzieci skoczyły ku niemu.

— Och... tam, tam... — wyjąkał Ali, jedną ręką wskazując otwór ciemny, a drugą wciąż jeszcze zakrywając oczy.

Pięć głów spotkało się w otworze i pięć par oczu wbiło w ciemność.

— No... cóż? — rzekł po chwili jakiś pytający głos — dalszy ciąg przekopu... Cóż takiego, czego wrzasnąłeś tak okropnie?

— Widziałem, wyraźnie widziałem — jęczał Ali.

— No i my widzimy ciemny otwór! Ale czegoż wrzeszczeć? — zapytał flegmatycznie Tom, patrząc na Alego wzrokiem pełnym pogardy.

— Bo... bo ja widziałem coś strasznego!

Na takie orzeczenie wypowiedziane głosem nabrzmiałym trwogą, zrobił się maleńki popłoch! Stos gruzów pod zaporą opustoszał w ciągu sekundy. Dopiero w przyzwoitej odległości od otworu dzieci oprzytomniały i zawstydzone własnym tchórzostwem bez słowa wygramoliły się na nowo i zajrzały w dziurę.

Ale daremnie oczy otwierały się najszerszej!
Nie było widać nic, jeno¹³ głęboką ciemność.

— Cóż to było? — zapytała w końcu Rena.

— Kościotrup!

Dzieci zdrętwiały. Po długiej, ciężkiej jak kamień chwili Olek rzekł niepewnie:

— Wydało ci się. Skądże znowu! Dajcie no tu świecę, trzeba zobaczyć — i wzięwszy światło z rąk Marty, wsunął głowę w otwór i bohatercko spojrzął.

— Kościotrupa tu żadnego nie ma — rzekł pewniejszym cokolwiek tonem — leży tylko na ziemi trochę kości, ale tak małych, że co najwyżej kota albo wiewiórki, albo już nie wiem czego. Jeśli się boisz, Ali, odrzucę je tak, byś przechodząc nie widział ich. Pewnie światło świec tak dziwnie jakoś padało i przerażyło cię. A teraz nie traćmy już więcej czasu. Przełazę przez dziurę, a wy za mną.

Z trudem i mazołem, rozdzierając ubrania o sterczące drzazgi, trafiając nogami w nieoczekiwane wywroty i dziury, przelazły dzie-

¹³jeno (daw., gw.) — tylko. [przypis edytorski]

ci przez barykadę, pomagając sobie wzajemnie. Dalszy ciąg przekopu miał już charakter inny. Był wyższy, szerszy, staranniej wykonany. Nie trzeba było schylać się idąc, ani rozbić nosów o nieoczekiwane występy. Był cały wykuty w skale.

— Tu już się pewnie zaczynają pokłady labradorowe. Pomyślcie, ile lat wysiłku i trudu musiał kosztować przekop, którym idziemy. Już teraz jestem pewien, że prowadzi aż do zamku.

Po tej uwadze Olka przyspieszono kroku, wszyscy bowiem czuli wyraźnie, że jeżeli coś ciekawego ich czeka, to tylko pod zamkiem. Ale i przyspieszać kroku było tu nietrudno. Pod nogami dzieci ziemia była gładka, szerokość korytarza pozwalała ruszać się swobodnie, a nawet iść parami, zamiast gęsiego. Coraz szybciej posuwano się naprzód, nerwowo pokonując zmęczenie, by prędzej dojść do upragnionego, choć niewiadomego celu.

Jakoż po godzinie tego forsownego marszu, gdy nogi już stanowczo odmawiały po-

słuszeństwa, dzieci znalazły się niespodzianie w ogromnej, okrągłej piwnicy, której sklepienie wspierało się pośrodku na potężnym, czworograniastym, kutym w kamieniu filarze.

Była pusta. Podnosząc wysoko niedopalone świeczki, dzieci uważnie, a starannie obeszły ją wokoło. Ściany piwnicy proste, kamienne i nagie, nie nosiły na sobie żadnych znaków, żaden nowy korytarz nie brał tu swego początku. Piwnica była beznadziejnie pusta.

W głębokim zniechęceniu siadł Olek na płaskim kamieniu, leżącym pod kolumną i rzekł smutnie:

— Po co się było tak męczyć! — ale nim dokończył, Nik zepchnął go energicznie, klęknął przed kamieniem i przyświecając sobie świeczką, wysylabizował z trudem:

— „*In manus tuas Domine*” — słowa te wyryte nieudolnie i bardzo słabo, widniały na płaskiej kamienia powierzchni.

— Co to znaczy? — zapytał Tom.

— To znaczy... „*W ręce Twoje, Panie*”.

Dzieci zamyśliły się głęboko. Wtem Nik krzyknął olśniony nagłą myślą:

— To znaczy, to znaczy, dzieci moje kochane, że tu pod tym kamieniem ktoś złożył coś i powierzył w ręce Boga!

— Może być! — cicho i ze wzruszeniem potwierdził Olek — lecz w takim razie nie mamy prawa, Niku, szukać tego. Nie mamy prawa, skoro powierzył to Bogu.

Ale z oczu Nika biło jak gdyby światło. Powiedział drżącym głosem:

— Olku, przecież nasze ręce to uszanują! Przecież nie sponiewieramy tego, co ten ktoś ukrył prawdopodobnie przed wrogiem. Nie jesteśmy wrogami! A ten napis po łacinie przecież wyraźnie dowodzi, że temu komuś chodziło o zwrócenie uwagi, tylko nie chciał, by każdy mógł go zrozumieć. Ja czuję, czuję, Olku, że powinniśmy odwalić kamień. Po to właśnie przyszliśmy tutaj!

— Po to przyszliśmy — przytwierdziła Rena i nie dyskutowano już dłużej. Olek, Nik i Rena, podłożywszy pod głaz kociuby, podwa-

żyli go bez trudności, gdyż nie był zbyt ciężki. Pod nim wtłoczone mocno w ziemię widniały dwie zbutwiałe deszczułki związane szpagatem.

Olek je podniósł, siadł na kamieniu i rękami czarnymi od ziemi, jał z trudnością rozplątywać sznurek, który wszelako po paru szarpnięciach rozleciał mu się w rękę. Spomiędzy rozwiązanych deszczulek wypadł jakiś łachman.

I oto dzieci rozpostarły między sobą duży, poźółkły kwadrat białego jedwabiu, bramowanego¹⁴ srebrem.

W milczeniu głębokim poznały w nim sztandar.

Tak, był to sztandar zerwany z drzewca. Z jednej jego strony na poźółkłym, podziurawionym jedwabiu, barwnie wyhaftowana widniała Matka Boska Berdyczowska — z drugiej jednogłowy, ukoronowany orzeł srebrny, a wokoło złoty napis:

DLA CIEBIE OJCZYZNO MIŁA!

¹⁴*bramowany* — obszyty wzdłuż krawędzi ozdobnym sznurem, taśmą itp. [przypis edytorski]

Na jednym z rogów widniała duża, rdzawa plama zakrzepłej krwi.

Serca dzieci zwarły się nagle wzruszeniem niewymownym ponad tą płachtą skrwawionego jedwabiu, ręce nie śmiały dotknąć świętej plamy, usta — powiedzieć żadnego słowa. Poczły się nagle wzniesione aż do wyżyn czyjeś bohaterstwa, aż do dramatu czyjejś krwawej śmierci za honor sztandaru, za wolność Ojczyzny miłej.

Marta wyszeptała cicho:

— Tu jest jakiś papier.

W istocie z rozwiniętego sztandaru wysunął się nieduży kawałek sztywnego, żółtego pergaminu. Olek wziął go w ręce, wyprostował rogi i przy drgającym świetle świeczki zaczął z trudem czytać.

— Ja, August Charłęski, pułkownik, dowódca Oddziału Pierwszego Wołyńskiego, po przegranej czerniachowskiej, ujrawszy się z partją swą, złożoną z ludzi stu dwudziestu czterech, otoczonym w lasach hołowińskich przez cztery sotnie kozaków, postanowiłem przedrzeć

się z oddziałem przez kordon wroga. Z rąk umierającego chorążego wyjąwszy sztandar, zerwałem go z drzewca i na piersiach ukryłem. W czasie walki ranny w głowę i ramię, straciłem przytomność. Ocknąwszy się, znalazłem się sam wśród trupów, w pustym lesie. Poszedłem, kierując się na zamek kamieniecki. Znanem mi wśród ruin tajemnym przejściem zeszedłem do lochów podziemnych i niemi doszedłem do zameczka ślepego w Nizpolu. Sposobem znanym uchylwszy płyty w grocie, ujrzałem park i dwór zalany moskiewskiem żołdactwem. — Powróciłem do ruin kamienieckich i tu, honor mojego pułku, sztandar jego, powierzam ziemi, albowiem wyszedłszy z lochów, żywy czy umarły, wpadnę w ręce wroga.

— Pisano dnia 27 Octobra. Anno Domini 1863.

Gdy głos Olka zamilkł, echo powtórzyło jeszcze kilkakrotnie „trzeciego... trzeciego... ego”.

— Pradziadunio — powiedziała ledwie dosłyszalnym głosem Marta.

— Tak, pradziad to pisał i był tutaj, i rzeczywiście wyszedłszy stąd, wpadł w ręce wroga. I zginął śmiercią męczeńską 28 października sześćdziesiątego trzeciego ro...

Nie domówił Olek tych słów, gdy nagle jakiś huk wstrząsnął powietrzem, ni to piorun, ni to wybuch! Dzieci skoczyły na równe nogi.

— Jezus Maria — wybełkotał Tom.

Jak spłoszone ptaki porwali się wszyscy ku ucieczce, zakręcili na miejscu, schwycili za ręce, rzucili w korytarz.

Powtórny grzmot, stamtąd właśnie idący, wpędził dzieci z powrotem do piwnicy.

— Stójcie na Boga! — wykrzyknął Olek, starając się opamiętać. — Trzeba się najpierw przekonać, co to jest! Coś...

— Coś się pewnie zawaliło i nie będziemy już mogli wyjść... i umrzemy z głodu! — wyjąkał rozpaczliwie Tom.

— Głupstwa pleciesz — krzyknęła groźnie Rena.

— Uhu... hu... — zahuczało jeszcze mocniej.

Dzieci rzuciły się ku przeciwległej ścianie. Ostatnia świeczka w rękach Marty zgasła. I wtedy ujrzały posuwającą się ku nim z korytarza jasność i zahuczało znowu.

— Uhu... hu... ho... hop — a po chwili — Ooolku... Ni...ku!

— Tatuś — krzyknęła radośnie Renia.

I oto rzeczywiście do piwnicy z pochodnią w ręku wszedł wuj Ryszard, otoczony wystraszoną służbą.

Ali skoczył, rozwarł ramiona i pochwycił ojca za kolana, zawołał zdyszczanym głosem:

— Papiusiu, znaleźliśmy skarb i... i... i... ale ja już chcę do domu! — tu rozbeczał się jak fontanna.

— Szkoda, że w tej piwnicy zasypani nie konaliśmy z głodu — rzekł w powrotnej drodze Nik — bo w paczuszce, którą trzyma Ali tak dzielnie, są... zapasy.

— A sztandaru nie wypuściłem, ani na jedną minutę — dodał po chwili.

ROZDZIAŁ XVI. TAJEMNICA

Ta jednak przygoda nie uszła już dzieciom na sucho. Nazajutrz po odkryciu przekopu wrócili rodzice smutni i zdenerwowani chorobą babuni, która długo jeszcze trwać miała. Gdy z trwogą i wahaniem opowiedziano im przygodę w zamku, a potem samowolną wyprawę do przekopu, mama aż zbladła na myśl, co stać się mogło, ojciec zaś tak się rozgniewał, że rzuciwszy ostro: „Olek i Nik, proszę za mną!” — wyszedł natychmiast z pokoju i zatrzasnął drzwi za chłopcami.

— O mamo! Co to się stanie? — wykrzyknęła przerażona Marta i przypadłszy do kolan matki, ukryła twarz w jej spódnicy.

Tomek odwrócił się do okna i długą chwilę patrzył w zalaną deszczem szybę, potem nagle krokiem zdecydowanym poszedł w kierunku gabinetu ojca. Otworzył śmiało drzwi i wszedł. Ojciec, który stał przed biurkiem, naprzeciw skruszonych chłopców, spojrział groźnie na pucołowatego Tomka i spytał:

— Czego tu chcesz?

— Chcę, żeby papuś i na mnie się gniewał — rzekł z determinacją Tom — i ja także byłem w przekopie i w zamku, i to nawet ja namówiłem, żeby wziąć Almanzora zamiast mucki.

— Dobrze — rzekł sucho ojciec — ponieważ poczuwasz się do winy na równi ze starszymi braćmi, razem z nimi poniesiesz karę. Od dziś do końca lata co dzień dwie godziny będziecie poświęcać pracy pod kierunkiem pana Martin. Poproszę go, by się postarał nagiąć wasze umysły do zastanowienia i by wzbudził w was poczucie odpowiedzialności, którego nie macie. Tyle razy winy były wam darowane, że spodziewałem się po was większej wrażliwości sumienia. Możecie iść, zasmuciliście nas poważnie i już wiem, że w przyszłości nie możemy polegać ani na waszym rozsądku, ani na posłuszeństwie.

Przez wiele dni następnych chłopcy przypominali sobie z bólem ostry głos ojca i długo nie mogli się pocieszyć. Takie nawet przy-

kre, choć zasłużone było zakończenie, że przez dłuższy czas nie było wcale mowy o przekopie, sztandarze i papierach.

Dzieci wiedziały, że ojciec z wujem Ryszardem robili staranne poszukiwania w przekopie i zamku i potem długo i często nad czymś debatowali; nie były wszelako dopuszczone ani do tych poszukiwań, ani do rozmów.

Dopiero po paru tygodniach, gdy postępowaniem swym i starannością dowiodły, że pragną odkupić winy, któregoś dnia ojciec, siedzący z wujem Ryszardem i mamą przed kasztanami, przywołał do siebie bląkającą się opodal czwórkę (Reni ani Alego nie było podówczas w Nizpolu) i rzekł do nich:

— Czy uważnie przeczytaliście znaleziony w sztandarze papier?

— Tak, zdaje się... — rzekł Olek czerwony z radości, iż ojciec mówi do nich w tej sprawie.

— Czy przeczytaliście także to, co było w środku złożonego papieru?

— Nie widziałem, że papier był złożony! — rzekł ze zdumieniem Olek.

— Tak, tylko stronice zlepily się ze sobą. Oto patrzcie.

Dzieci pochyliły się nad stołem i na pożółkłej karcie wyczytały, co następuje:

— Dokumenta rodzinne, prawa własności, dowody przynależności lasów na Hajwie do dóbr niżpolskich i papiery dotyczące spraw rodziny Charłęskich znajdują się zakopane w skrzynce żelaznej, w miejscu, gdzie o samem południu, w miesiącu Semptembrze, słońce pada na krzyż.

— Na jaki krzyż? — zapytała Marta, podnosząc głowę.

— Właśnie — powiedział ojciec — od czasu znalezienia przez was tego papieru debatujemy nad tym, na jaki krzyż?

Dzieci stały oszołomione. Sprawa przybierała obrót zupełnie już fantastyczny. Zżółkły pergamin, tajemniczy napis, który za wszelką cenę odgadnąć trzeba!... Można było oszaleć:

Olek zapytał nieśmiało:

— Czy mogę powiedzieć, co o tym myślę?

— Powiedz — zgodził się ojciec.

— Myślę — rzekł chłopiec poważnie — że w zameczku musiała być kaplica i że w tej kaplicy był krzyż, i że to o tym krzyżu mowa; może o tym samym, który dziś wisi w kaplicy hołowińskiej.

— Nie! — wykrzyknął Nik — stanowczo nie! Bo wtenczas nie byłoby powiedziane: „W miejscu, gdzie o samym południu słońce pada na krzyż”, a tylko „pod krzyżem” albo za krzyżem i już! To nie może być mowa o takim zwyczajnym, małym krzyżu!

— Brawo Nik! — zawołał wuj Ryszard wesoło — co to za sprytny chłopak. Naturalnie, że masz rację.

— Prawda — rzekł zmarkocony¹⁵ niepowodzeniem Olek — po cóż by o tym słońcu była mowa? Sam krzyż zupełnie by wystarczał, gdyby chodziło o taki zwyczajny, wiszący na ścianie. Cóż to więc być może?

— Właśnie! — rzekł ojciec — myślimy o tym ciągle. Przychodziło już nam na myśl, że może w zameczku ślepym w kaplicy był ja-

¹⁵*zmarkocony* — dziś popr.: zmarkotniały, zasmucony. [przypis edytorski]

ki ogromny krzyż, wymalowany na ścianie czy też wymozaikowany na podłodze, tak duży, że trzeba było dokładniejszego określenia, w którym jego miejscu znajduje się owa skrzynka i dlatego dziad wspomniał o tym słońcu. Ale po zbadaniu starych planów okazuje się, że kaplica stała akurat w tym miejscu, gdzie dziś nowe oficyny, a że w planach nie ma najmniejszej wzmianki o jakimś wielkim krzyżu, trzeba by więc całe oficyny burzyć i ziemię piędź¹⁶ po piędzi skopać. A wobec niepewnego rezultatu nie możemy się na to zdecydować.

— Czy papiery w tej skrzynce są bardzo ważne i potrzebne? — zapytała Marta.

— Bardzo potrzebne — odparł ojciec. — Mając te dokumenty w ręku, wygralibyśmy natychmiast proces, który już od lat szeregu prowadzimy z rządem rosyjskim o zagarnięte bezprawnie lasy. Że zaś wolą naszego dziada było, aby w lasach tych stanął wielki przytułek dla sierot oraz lecznica dla biednych dzieci, więc

¹⁶piędź — daw. jednostka miary odpowiadająca szerokości rozpostartej dłoni (od końca małego palca do końca kciuka). [przypis edytorski]

naturalnie obowiązkiem naszym jest szlachetny ten projekt zrealizować.

— Dobrze — rzekł na to Olek — ale jeżeli ten las został przez rząd skonfiskowany za udział pradziada w powstaniu, to cóż nam pomogą wszystkie dowody przynależności? Przecież, konfiskując, wiedzieli dobrze, że to własność pradziada, i właśnie dlatego skonfiskowali.

— Nie — zaprzeczył ojciec — dobra niżepolskie nie zostały przez rząd moskiewski skonfiskowane, gdyż pradziad potrafił się przed tym zabezpieczyć. Zdawał sobie sprawę z tego, że wynik powstania nie będzie pomyślny. Przewidywał, że nastąpią represje i kary i wiedział, że jeśli nawet ujdzie z życiem z tych strasznych krwawych dni, to przecież zostanie zesłany na Sybir i pozbawiony mienia. Toteż na kilka miesięcy przed wybuchem powstania cały swój majątek ruchomy i nieruchomy przerobił na imię żony i małoletniego synka.

— Więc?... więc jakim sposobem rząd mógł zabrać lasy na Hajwie? I to w dodatku tylko las ni stąd ni zowąd?

— To dawniejsza jeszcze sprawa — odparł ojciec. — Lasy te zostały zagarnięte przez rząd rosyjski jeszcze przed powstaniem, a to pod pozorem, że leżąc w środku nieomal lasów rządowych, stanowią ich część nieodłączną. Naturalnie wyznaczyli za nie dość wysoką nawet cenę, którą chcieli zapłacić, ale pradziad się na to nie zgadzał. Pieniędzy brać nie chciał, ale i lasów nie oddawał. Spór o to trwał najgorętszy właśnie w chwili wybuchu powstania; potem naturalnie przycichł na lat kilka: wszystkie sprawy stały się nieważne w dobie tej bez nadziei walki za kraj. Przez ten czas Rosjanie rozgospodarowali się nad Hajwą. W kilkanaście lat potem spór został podjęty przez waszego dziada. Rozpoczął się proces, który z przerwami trwa aż po dziś dzień. Prowadzimy go, ciągle apelując i coraz to uzyskując przez protekcje i łapówki kasację zapadających wyroków. Sprawa ta jest nużąca, kosztuje nas materialnie

i moralnie dużo, nie chcemy jednak, nie mamy prawa zrzekać się na korzyść rządu fortuny, która tak pięknie miała przeznaczenie.

— Wszystko jedno — powiedział wuj Ryszard niechętnie — jeżeli nie odnajdziemy owych papierów, tak dowcipnie przez dziada schowanych, to ja... już mam dosyć. Daruj, mój drogi, ale już ani razu nie pojedę do Petersburga i żadnym już wielkim księżętom, ani ministrom nie będę składał wizyt. Bądź co bądź to są rzeczy upokarzające i choć piekielną mam ochotę utrzcąć nosa tym dygnitarzom, panoszącym się na Hajwie... Mój drogi, czy uwierzysz, że ośmielili się zaprosić mnie na urządzone tam ostatnio dla księcia Cyryla polowanie?

— I przecież pojechałeś — rzekł ironicznie ojciec.

— Naturalnie, że pojechałem — zawołał wuj Ryszard — postanowiłem bowiem dać im nauczkę!

— Ech — machnął ręką ojciec.

— Nie „ech” *mon cher*, tylko czasem jedno słowo w porę wypowiedziane więcej znaczy

niż sto czterdzieści apelacji. Witając się ze mną, wielki książę mówi: „Jakże mi miło witać cię, hrabio, w tym pięknym naszym lesie”. „Wasza wysokość — odpowiadam mu — pięćdziesiąt lat temu mój dziad miał szczęście spotykać w tym samym miejscu wojska ojca waszej wysokości. Tak się to w życiu dziwnie wszystko plecie, że może nadejdzie chwila, kiedy syn mój będzie miał radość i zaszczyt odwdzięczyć się tu synom waszej wysokości za honor, który mnie dziś spotyka”. „Serdecznie ci tego życzę, hrabio”, powiedział, śmiejąc się wielki książę. Trzeba było widzieć miny tych wszystkich dygnitarzy leśnych. Na cóż, było na co patrzeć.

— Bardzo to było dowcipnie powiedziane — rzekł z niechęcią ojciec — ale tymczasem wygląda to raczej tak, jak gdyby się na tym dowcipie miało wszystko skończyć — i rzekłszy to, zamyślił się smutnie, patrząc na złotą smugę rzyńska widną¹⁷ daleko, poza drzewami parku.

¹⁷widny (daw.) — tu: widoczny. [przypis edytorski]

— A skąd wiadomo dokładnie, że pradziad chciał w tych lasach stawiać ochrony i szpitale dla dzieci? — zapytała Marta, której współczujące serce najwięcej cierpiało wobec tych nieziszczonych planów. Zaraz, jak tylko ojciec zaczął opowiadać o całej sprawie, ujrzała oczyma duszy, piękne, białe gmachy o czerwonych dachach, w otoczeniu drzew starych, a pełne śmiejących się, różowych dzieci w białych fartuskach. I teraz nie mogła się rozstać z tym widokiem.

— Wiemy to z jego pamiętników i listów — odparł ojciec.

— Na Hajwie miał stanąć wielki gmach dla sierot i lecznica. Dochody z gospodarki leśnej miały iść na potrzeby tej fundacji. W całej okolicy już była o tym mowa i wszyscy sąsiedzi mieli przyczyniać się do tego dzieła.

— Przecież taki projekt nie może przepaść — wykrzyknął Nik z żalem i energią.

— Nie może — powiedział ojciec — i dlatego dołożymy wszelkich starań, aby odszukać ową zakopaną skrzynkę.

— Nic nie pomoże — rzekł wuj Ryszard z determinacją — będziesz musiał, Auguście, burzyć twoje nowe oficyny! Jak już mówiłem, połowę tych kosztów biorę na siebie, ponieważ sprawy papierów i lasu i mnie na równi z tobą obchodzą.

— I ja czuję, że tym się skończy, gdyż sprawa jest zbyt ważna i nie można zaniedbać najmniejszej szansy odnalezienia dokumentów. Jeszcze tydzień temu mówił mi nasz adwokat, że wobec braku tych papierów właściwie już nie ma nic do zrobienia i należy zrezygnować z dalszego przewlekania sprawy. Rozumiesz jednak, Ryszardzie, że się waham i namyślam. Ledwo wykończyłem te oficyny z takim nakładem kosztów i pracy, swojej i cudzej. A nie ma przecież żadnej pewności, by się pod nimi znalazła ta przeklęta skrzynka. Jestem głęboko przekonany, że jej tam nie ma, chętniej bym jej szukał w najniedorzeczniejszych miejscach niż tam właśnie.

— Powodujesz się jakimś zabawnym uprzedzeniem — zaczął wuj Ryszard, ale przerwała mu matka, która rzekła:

— A ja wam radzę, poczekajcie. Jeśli skrzynka jest pod oficyną, nie zginie, poczeka jeszcze, a może się nagle coś wyjaśnić. Podejmuję się powybierać ze strychów, schowków i biblioteki wszystkie stare papiery, listy, notatki i przejrzeć to wszystko najstaranniej. W Hołwinie zróbcie to samo, a jeśli nic się nie znajdzie, pojedę jeszcze i do Ostępowiec, może tam w starych listach dziadostwa znajdzie się jakaś wzmianka o tym krzyżu.

— Naturalnie, że trzeba wszystkiego spróbować, zanim się przystąpi do ostateczności burzenia oficyn — rzekł wuj Ryszard. — Nie myślcie tylko proszę, że nalegam na to dlatego, że łatwiej mi o pieniądze niż wam, tylko mam taką diablą ochotę spletać figla tym panom w Petersburgu! Ale oto i konia mi prowadzą. Do widzenia, Marto, bądźcie zdrowe, dzieciaki. Coś wam Renia kazała powiedzieć, dzieci, ale zapomniałem.

Wuj Ryszard wskoczył z ziemi na konia, nie dotykając strzemienia i pojechał ku bramie, zawsze śliczny, lekki i młody niby dwudziestoletni chłopiec.

Od narady tej pod kasztanami dzieci nie zaznały już ani chwili spokoju. Wstając z rana i myjąc się w łazience, czy też kładąc wieczorem do łóżka, robiąc zadania arytmetyczne czy grając w tenisa i krokieta, jedząc szarlotkę z jabłek czy też słuchając wieczorem przy kominiku przygód pana Andrzeja Kmicica, wszystkie głowy zaprzątnięte były jedną tylko myślą: o jakim krzyżu była mowa?

ROZDZIAŁ XVII. BURZA

Najstarsi ludzie nie pamiętali w Nizpolu takiej burzy.

Od samego rana przelatywały po niebie wielkie, ciemne, niezwykle groźne i huczące chmury, a od południa rozpoczęło się istne piekło!

Wicher huraganowy rzucił się wściekle, a zajął na park, zginając drzewa do samej ziemi

i szarpiąc na wszystkie strony, przerażone, zbole-
łałe gałęzie. W jednej chwili tumany liści, ku-
rzu i piasku uderzyły w niebo, rozfalowały się
wody na jeziorze. W sadzie jak grad leciały na
ziemię owoce, obładowane nimi gałęzie, zrzu-
cane wściekle z podpór, z trzaskiem łamały się
i opadały ku ziemi.

W jakiejś chwili zrobiło się nagle przera-
żająco cicho i w tej ciszy śmiertelnej uderzył
pierwszy grom, a wraz za nim, olbrzymie i okrą-
głe, spadły na ziemię krople deszczu.

Błyskawice rozdzierały pociemniałe, czar-
nofioletowe niebo, raz wraz piorun trzaskał w je-
zioro i drzewa. Nie strumienie, a wprost wo-
dospady polały się z nieba na przerażoną, za-
skoczoną ziemię.

Przez okno o dwa kroki już nic nie było
widać oprócz wściekłych potoków miotanego
wiatrem deszczu. Ze ścieżek w jednej chwili
poczyniły się strumienie, które rwały, zmywa-
jąc żwir i piasek, w dół ku stawom.

Raz wraz straszliwy huk trząśł domem i wten-
czas już nikt nie wiedział, czy to któraś ze stu-

letnich topoli nadwiślańskich runęła, miażdżąc wszystko pod sobą, czy też to piorun uderzył w pobliskie drzewa.

Mama chodziła po zamkniętym szczelnie domu z loretańskim dzwoneczkiem, trzymając za rękę przerażoną i wyjątkowo cichą i poważną Anię.

Ojciec stał w gabinecie przy oknie, z rękami w kieszeniach i brwią zmarszczoną; patrzył na rozszalały żywioł i myślał pewnie o ostatnich pokosach, które tam za parkiem wezbrana woda ponosiła z łąk na jezioro.

Wszyscy trzech chłopcy stali przy ojcu w tym samym oknie, zupełnie tak samo, z rękami w kieszeniach i brwiami groźnie ściągniętymi nad nosem. Tom na chwilę podszedł do barometru, postukał w niego palcem, popatrzał, nic nie zrozumiał i wrócił do okna.

W garderobie zgromadziła się domowa służba. Za każdym piorunem dziewczęta z piskiem chowały głowy pod poduszki, panna Dziudzia zegnała się wielkim krzyżem i mówiła donośnie: „A słowo stało się ciałem” — zaś Haw-

ryłko i Sławian lekkomyślnym lekceważeniem groźnej burzy starali się zaimponować kobietom. W dziecinnym pokoju niania gotowała się na sąd ostateczny.

Siedząc na klęczniku w swoim pokoju, Marta płakała rzewnymi łzami. Nie dlatego, żeby się burzy bała, choć Bogiem a prawdą bała się jej trochę, ale tak jej było niewymownie żal kwiatów łamanych siłą i impetem wody, ptaków niemających gdzie skryć przerażonych główek, drzew padających jak żołnierze na polu bitwy. Wiedziała już, że nazajutrz wyjdą do parku jak na pobojuwisko! Za każdym nowym hukiem wtulała głowę w kolana i modliła się do Matki Boskiej Berdyczowskiej, która patrzyła na nią słodko, sponad świecącej nikło lampki.

— Matko Boża, ocal moje najdroższe drzewa w parku, ochraniaj gniazda ptaków, prowadź podróżnego, ustrzeż od pioruna chaty we wsi!

Wtem straszniejszy niż kiedykolwiek huk zatrząsł domem. Skulona pod klęcznikiem Marta uczuła silne uderzenie w głowę, coś ciepłego

połało się jej po szyi i jednocześnie brzęk tłuczonego szkła rozległ się u jej nóg.

Zdrętwiała.

— Piorun we mnie trafił... piorun — przemknęło jej przez oszalałą myśl.

Długą jak wieczność chwilę zdawało się jej, że ruszyć się nie może. Po pewnym czasie jednak spróbowała otworzyć oczy. Zobaczyła przed sobą pokój. Wówczas ośmielona podniosła ręce do obolałej głowy, dotknęła mokrych, ciepłych włosów i spojrzała na nie. Zdziwiła się. Nie były wcale we krwi, jak się tego spodziewała, tylko umazane czymś tłustym i żółtym. Wówczas podniosła głowę i nagle... zrozumiała co się stało: od gwałtownego wstrząśnienia domu, obraz Matki Boskiej wiszący nad klęcznikiem oberwał się, spadł jej na głowę, z głowy na ziemię i oto miała u swych nóg potłuczone na miazgę szkło. Wypadły z pękniętych ram obraz i szerokie jezioro oliwy wyciekłej z rozbitej lampki.

Ochłonawszy nieco z przest్రachu, Marta wytarła chustką szyję i głowę, podniosła obraz,

strzepnęła go z resztek szkła, nabożnie ucałowała i zaczęła zbierać kawałki ramy wiszące na grubym, złożonym we dwoje papierze, którym był obraz podlepiony.

Po oderwaniu części ramy, Marta spostrzegła, że papier ów jest cały zapisany równym, kobiecym pismem. Przyjrzała mu się. Od strony zewnętrznej, brudnej i zamazanej, wyczytała te słowa:

— „Dolly, *ma soeur bien aimée*¹⁸! Od wyjazdu waszego z Nizpola nie mogę się pocieszyć! *Je suis inconsolable*¹⁹! Cały dom wydaje mi się pusty, a szpinet gra same rzewne kawałki. *Même Auguste*²⁰...” — dalej słowa zatarte były i zamazane.

„Dolly to była prababuni siostra” — pomyślała Marta i przewróciwszy kartkę na zewnętrzną, czystą i wyraźną stronę, poczęła czytać dalej:

¹⁸*ma soeur bien aimée* (fr.) — moja ukochana siostrze. [przypis edytorski]

¹⁹*Je suis inconsolable* (fr.) — jestem niepokieszona. [przypis edytorski]

²⁰*Même Auguste* (fr.) — nawet August (początek urwanego zdania). [przypis edytorski]

— „Zachwyceni *par les merveilles de Sofiówka*²¹, zapragnęliśmy choć słaby odblask tych cudów mieć przy zamczku naszym, prosiliśmy tedy hrabiego, by nam swego ogrodnika, mistrza jakich mało, na dni kilka wypożyczyć raczył, co też uczynił z miłą chęcią, *plus charmant et courtois que jamais*²². Od tygodnia więc pracujemy nad parkiem naszym. Pięćdziesięciu robotników daliśmy pod rozkazy tego *maitre’a*²³ przyrody. Zakładamy szpalery, aleje, *on fait des percées de vue, des eclaircies*²⁴. Stawiamy pergole w stylu greckim, między grupami gatunkowych krzewów. Szpaler pod murem od drogi kazał ów *maitre* z Sofiówki przystrzyc, a gdzie się zakręca ku parkowi, poradził uplasować w cieniu tui grupę lub też figurę marmurową. Me tkliwe sentymenta pragnęły ujrzeć

²¹*par les merveilles de Sofiówka* (fr.) — cudami Sofiówki (*Sofiówka*: założony pod koniec XVIII w., opiewany m.in. w poemacie Stanisława Trembeckiego park krajobrazowy w daw. posiadłościach rodziny Potockich w Ukrainie). [przypis edytorski]

²²*plus charmant et courtois que jamais* (fr.) — jeszcze bardziej uroczy i grzeczny niż zwykle. [przypis edytorski]

²³*maitre* (fr.) — mistrz; nauczyciel. [przypis edytorski]

²⁴*on fait des percées de vue, des eclaircies* (fr.) — robimy aleje widokowe, przecinki. [przypis edytorski]

tam Amora i Psyche, lecz *Auguste* zdecydował umieścić Fauna grającego na flecie.

*A travers la grande prairie du milieu*²⁵ przeprowadzono dwie aleje lipowe na kształt krzyża. Oby ten krzyż, *emblème de notre foi*²⁶, przyniósł nam szczęście i oby strzegł siedzibę naszą od wszego złego...

Marta nie czytała dalej, tknięta jakąś nieświadomą myślą. Nie mogąc zmiarkować, co ją w przeczytanych słowach tak nagle uderzyło, utkwiała oczy w pożółkły papier i machinalnie powtarzała: „Oby ten krzyż, *emblème de notre foi*... oby ten krzyż...”.

I nagle skoczyła na nogi jak gdyby ją kto oparzył i potrząsając papierem ponad głową popędziła przez dom, wydając nieokreślone okrzyki.

Wpadła do gabinetu jak jeden z bijących w dom piorunów i stanęła pośrodku, niezdolna wypowiedzieć słowa, blada, z włosami pozlepianymi na skroniach od oliwy.

²⁵*A travers la grande prairie du milieu* (fr.) — przez wielką łąkę na środku [parku]. [przypis edytorski]

²⁶*emblème de notre foi* — znak naszej wiary. [przypis edytorski]

— Marto, co się stało, na Boga! — krzyknęła matka, zrywając się z fotela i chwytając ją za rękę. Marta zdołała tylko wyjąkać:

— Krzyż... znalazłam krzyż...

Ojciec i chłopcy skoczyli od okna, otaczając siedzącą na kolanach matki Martę.

— Krzyż znalazłaś? Gdzie? — zawołał ojciec.

Za całą odpowiedź Marta podała mu papier i złożywszy głowę na ramieniu matki, rozplakała się z radości, bólu i wzruszenia.

ROZDZIAŁ XVIII. SKRZYNKA

Nazajutrz rano Nik obudził się bardzo wcześnie; zupełna cisza panowała jeszcze w domu i za oknami. Mimo to wstał cicho i pozbierawszy po omacku części swej garderoby, chwalebny zwyczajem porozrzucane w różnych kątach pokoju, wyszedł do łazienki. Po drodze zawadził o krzesło, które stuknęło mocno w stół. Olek podniósł na ten hałas głowę, spojrzął nie-

przytomnie i zakławszy siarczyście, usnął na nowo.

Otworzywszy w łazience okiennicę, Nik został zalany potokiem jasnego światła. Stał chwilę olśniony, patrząc na precudny, Boski świat, potem zaś szybko i cicho uwinął się z ubraniem.

Wyszedł przez okno łazienki, z dawien dawna już bowiem uważał okna za odpowiednie do wchodzenia i wychodzenia od drzwi.

Stanąwszy na mokrej trawie, poczuł się zaraz niezmiernie szczęśliwym.

Po wczorajszej burzy świat zrobił się niewypowiedzianie piękny i promienny. Aż oczy bolały od jaskrawości i siły barw. Wszystko stało się jakieś czyste, wymyte, wyraźne aż do przesady, do najdrobniejszych szczegółów, a wesołe do szaleństwa.

Spojrząwszy ku oficynom, Nik zobaczył klucznicę z dziewczętami, idące ku oborom; z daleka pod stajnią, pod okiem Gabra, stajenni czyścili konie. Zrazu Nik tam skierował swoje kroki,

zaraz jednak nawrócił do parku, wspomniawszy nagle wczorajsze odkrycie Marty.

Burza poczyniła wielkie spustoszenia. Jeszcze przed domem, gdzie na aksamitnych trawnikach były przeważnie dywanowe kwiaty, przeplatane purpurowymi, niskimi klombami begonii, nie znać było jej śladów, lecz już po bokach, gdzie bujne, a pachnące stały się rabaty lewkonii, chryzantem, pelargonii — widać było jej niszczycielską rękę.

Najgorzej ucierpiały róże. Długie ich szeregi, ciągnące się wzdłuż parteru kwiatowego i tarasów, wczoraj jeszcze mieniące się gorącymi barwami, dziś poszarpane, połamane, wygięte, nie nosiły na sobie ani jednego rozkwitłego kwiatu; natomiast trawniki zasiane były wkoło wielobarwnymi płatkami, na podobieństwo grubego kobierca.

Smutny też widok przedstawiały grzędy kwiatowe, okalające barwnym murem oficyny. Wyglądały jak gdyby przeleciał po nich tabun koni; rundbokie wysokie i krzaczaste rozesały się po ziemi, rozrzucając szeroko złociste kule swych

kwiatów, dalie zbiedzone i połamane zdawały się wstydzic utraconej urody, astry zbiły się w gromady niby spłoszone owce. Ślasy i łubiny, rezeda i nasturcje, nieśmiertelniki, matyola i gardenie splątały się razem, a połamane łodygi dumnych malw sterczały ponad tym wszystkim, niby nagie maszty uszkodzonego przez burzę okrętu.

Ogrodnik chodził po tym swoim zrujnowanym państwie, nie wiedząc, gdzie najpierw iść z pomocą. To ostrym nożem ogrodniczym odcinał nadłamaną gałąź jakiegoś krzewu, to przywiązywał szpagatem zwisającą przy paliku różę, to smutnie głową kiwał i burczał pod nosem nad poważniejszą jakąś szkodą i aż za głowę się złapał, ujrawszy, że między oknami salonu, gdzie pięła się dotychczas wiotka róża japońska, dziś bieleje nagi mur, a długie, kolczaste łodygi brutalnie zerwane z drutów, widnieją na żwirze dziedzińca.

Nik poszedł do parku. Z przyjemnością kroczył po wymytych, miękkich ścieżkach i pa-

trzał na głębokie bruzdy biegnące bokiem trawników, a które wyłobiła woda.

Jezioro i kanały tak wezbrały, iż woda przelewała się przez brzegi i pędziła poprzez groble, hen ku rzece.

— Widocznie jeszcze całą noc musiał padać deszcz — rzekł sobie Nik.

Gdy wszedł w głąb parku, radość jego i pogoda znikły. Gdzie tylko spojrział, oczy jego napotykały nowe zniszczenie. Drzewa znajome i kochane słały się gęsto poprzez ścieżki, tragiczne jakieś i jeszcze żyjące, choć już na śmierć skazane.

Serce Nika ścięło się dojmującym bólem. Wszedł na powalony pień pradawnej nadwiślańskiej topoli, która, zwaliwszy się na wyspie, poprzez kanał złożyła koronę swoją na drugim brzegu, i poszedł po nim wzwyż ku korzeniom. Wydrapawszy się między splątane węzły potężnych, sterczących ku górze korzeni, ujrzał, że mocarz, padając, wyrwał olbrzymi, głęboki na kilka metrów dół, pełen teraz wody gliniastej i mętnej.

Nik usiadł na pniu i spojrzał w park.

„Zupełnie jak pobojuwisko” — pomyślał. Odbiegła go ochota poszukiwania prawdopodobnego miejsca skarbu, według wskazówek odkrytego przez Martę listu. Prawie zapomniał o tym, a zresztą wszystkie skarby świata wydały mu się nieważne wobec tych smutnych, kona-
jących drzew.

„Tak! zupełnie jak po bitwie — powtórzył w duchu. — Tak samo jak na pobojuwisku, pełno zabitych i rannych. Tak samo przyjdą ludzie, którzy uprzątną ofiary, aby znów wszystko było w porządku i aby nie zawadzały tym, którzy zostali!”

I nagle nie wiadomo dlaczego, Nik gorzko zapłakał.

Ale bardzo krótko, zawstydził się zaraz niewypowiedzianie i dumał dalej:

„Jedni z tych rycerzy bili się mężnie, do ostatniej chwili. Inni pewno prosili o łaskę. Tak! Na pewno ta przygnieciona brzoza prosiła o łaskę. Nie była w stanie spojrzeć dumnie śmierci w oczy. Ale na wojnie łaski nie ma. I dobrze!

Ginęliby wszyscy dzielni, a zostawali tchórze. Doły po korzeniach to zupełnie jak od kul armatnich. Na pewno tak właśnie muszą wyglądać wyrwy od bomb i kartaczy. Ta wielka topola broniła się z pewnością do upadłego, wiatr nią szarpał, a ona nic! Pioruny w nią waliły, a ona stała! Aż zdradziecko...”

— Niku! — rozległ się gdzieś niedaleko głos Olka.

Nik zeskoczył z pnia, pogładził ręką chropowatą korę, nachylił się i ucałował czerwonymi jak krew ustami.

Aleją schodziły ku niemu wszystkie dzieci, ślizgając się trochę po wilgotnej ziemi. Olek zapytał surowo, bo okoliczność wydawała się odpowiednią po temu, czy był już na krzyżu? Nik rzekł wymijająco.

— I tak nic tam sami nie wypatrzymy, bo najprzód daleko jeszcze do południa, a po wtóre od tego czasu, kiedy pradziad zakopał skarb, tyle już lat upłynęło, że drzewa zupełnie się rozrosły i na pewno słońce nie pada już tak wy-

rażnie w jednym miejscu. Zresztą papa zabronił cokolwiek zaczynać na własną rękę.

— Tak — rzekł Olek — ale zobaczyć przecież można, nikt nam nie zabronił spacerować lipową aleją.

— To sobie spacerujcie — odparł Nik. — Ja tu się bawię w dzikich ludzi zamieszkujących puszcze afrykańskie. Właśnie drzewo, na którym miałem swoje legowisko, runęło i muszę szukać sobie nowej siedziby.

— Zostaję z tobą, Niku, i będę twoim Piętaszkiem — rzekł Tom, gramoląc się na pień zwalonej topoli.

— Ale pewnie nie jadłeś śniadania? — zaniepokoiła się Marta.

— Dzicy ludzie nie jadają śniadań — pogardliwie rzucił Nik i ze zwinnością wiewiórki przebiegł po pniu przez kanał na wyspę, wylazł między korzenie i chwytając się rękami grubszych, zaczął się spuszczać po nich nad głęboką wyrwą pełną gliniastej wody.

— Spadniesz! — krzyknęła Marta, ale Nik w tejże chwili odbił się nogami od drzewa i jak

piłka skoczył na brzeg, strącając grudy ziemi w błotnistą wyrwę.

Tom jako Piętaszek poszedł w jego ślady, przeszedł po pniu z równowagą i spokojem, ale kiedy trzeba było spuszczać się po korzeniach nad błotnistym dołem, zawahał się.

— Tomku, moje dziecko, nie radzę ci iść śladami Nika — rzekł drwiąco Olek, zasuwając ręce w kieszenie i patrząc na Toma przymrużonymi oczami.

Te wyraźne dowody lekceważenia zdecydowały Piętaszka, przelazł przez korzenie i powoli zaczął się spuszczać w dół. Zszedłszy do poziomu brzegu, tak jak Nik odbił się nogami od drzewa i skoczył. Ale skoczył za blisko, rozmiękły brzeg nad wyrwą osunął się i Tom klapnął w mętną wodę, wypryskując ją daleko wokoło.

Dzieci skoczyły na ratunek. Trzymając się mocno korzeni, Olek i Nik podali nieszczęsnemu Piętaszkowi ręce i wyciągnęli go na brzeg w stanie iście oplakany.

Zanurzył się w wyrwie aż po szyję i stał teraz na brzegu dokładnie oblepiony błotem i ociekający zimną wodą.

— Boże święty! Co my teraz zrobimy! — załamała ręce Marta.

— Trzeba go wysuszyć na słońcu, to błoto się wykruszy i nie będzie znaku! — zapewnił stroskany Nik.

— Tak! Ale przez ten czas przeziębci się na nic — zaproponował dręczony wyrzutami sumienia Olek. — Nie ma rady! Trzeba, żeby szedł do domu i przebrał się. Chłodno dziś zupełnie.

Tom się rozbeczał donośnie.

— Nie pójdę do domu hu... hu... hu... cały jestem w błocie i wyglądam jak kijanka... wolę się przeziębci i umrzeć!

— Słuchajcie! — zaproponował Nik. — Chodźmy na łączkę, na słońce, tam go rozbierzemy, wytrzemy i wysuszemy ubranie. Na słońcu się nie przeziębci — to mówiąc, chwycił Toma za rękę i pędem pociągnął w stronę łączki. Za nimi pobiegli Olek i Marta.

Na łączce rozebranego dokładnie Nik z Ołkiem wytarli do czerwoności chustkami do nosa, podczas gdy Marta pobiegła wypłukać w jeziorze ubranko z błota. Potem owiniętego fartuszkami Marty i bluzą Nika posadzili na najbardziej słonecznym miejscu, a poszczególne części jego garderoby, mocno po tej kąpieli szare, rozesłano na trawie.

— Nic jednak to wszystko nie pomoże — rzekł Olek, przewracając na drugą stronę białą bluzę Toma — trzeba będzie się przyznać, bo najpierw do wszystkiego zawsze przyznawać się mamie trzeba, po wtóre zaś ubranie wygląda jak psu z gardła wyjęte, więc nie uda się ukryć.

— To się przyznam — rzekł ponuro Tom z nosem zaczerwienionym od płaczu, na kształt pomidora — to się przyznam, ale przynajmniej nikt się nie będzie wyśmiewał ze mnie.

— Z Hołowina przyjechali! — krzyknął nagle Nik, usłyszawszy odległy turkot po moście. — Boże mój! A tu majtki zupełnie jeszcze mokre!

Tom znowu się rozszlochał.

— Wszyscy pójdą teraz szukać skarbu... hu... a ja... a ja... hu...

— Nie płacz, Tomku! Masz, bielizna sucha już zupełnie, ubieraj się prędko. Majtki też lada chwila przeschną. Nic się nie bój, zdążymy jeszcze! Wujostwo pewno przed tym jeszcze będą pili śniadanie, nim pójdzie się kopać!

Uspokajając Toma w ten sposób, Marta pomagała mu zapinać stanik i obciągała mocno pomięte części garderoby. Olek i Nik kręcili się niespokojnie na miejscu, ale czując się po trochu winnymi w tej nieprzyjemnej przygodzie, nie śmieli odejść, pozostawiając Toma w tak oplakany stan. Sytuacja stawała się naprężona.

— Wiecie co? — zaproponowała Marta — idźcie wy naprzód! My tu z Tomkiem poczekamy, aż ubranie przeschnie i przyjdziemy za wami. Mogliby spostrzec nieobecność nas wszystkich.

Olek i Nik skwapliwie skorzystali z tej propozycji i pędem puścili się poprzez park do domu.

Na tarasie spotkali Renię, Alego i Marietkę.

— Gdzież to się podziewacie? — krzyknęła Renia. — Już wszystko przygotowane! Papa z wujciem obliczyli mniej więcej miejsce i za chwilę ruszamy kopać. Gdzież Marta i Tom?

— Jakim sposobem papo z wujem mogli obliczyć miejsce, skoro nie ma żadnych wskazówek? — zapytał Olek.

— Byli przed chwilą w alei i zauważyli, że w jednym miejscu brakuje w rzędzie dwóch drzew. Teraz zasiały się tam młode drzewka, ale dawniej bez wątpienia tam musiało być miejsce, gdzie tak wyraźnie padało słońce, że aż je pradziad użył za wskazówkę.

— Gdzie są wszyscy? — zapytał Olek.

— W gabinecie. Kazali tu nam czekać. Gdzież Marta i Tom? — powtórzyła Renia pytanie — Taki ważny dzień, (że aż Marietka zdecydowała się przyjechać), a wy się gdzieś rozlatujecie!

Przez oszklone drzwi gabinetu wyszli wszyscy starsi: rodzice, wujostwo i pan Martin.

— Niku — rzekł ojciec — pójdź, powiedz Gabrowi, żeby szedł z ludźmi za nami i dogoń nas w parku.

Spełniwszy polecenie ojca, Nik puścił się w głąb parku. Po drodze jednak skręcił na łączkę, by dowiedzieć się czegoś o losie Marty i Toma. Nie było już ich tam, więc zadowolony, iż nie chybią uroczystości, zawrócił w lipowe aleje.

Porozstawiani na pewnej przestrzeni ludzie właśnie zaczęli kopać. Byli tam wszyscy zaufani ze służby: ogrodnik z Józiem i Filipkiem, Gabro z Michałkiem, Jan ze Sławianem i Hawryłem, i kilka dziewcząt ogrodowych.

Ojciec, a nawet wuj Ryszard od czasu do czasu chwyтали za łopaty i kopali w miejscach, które wydawały im się bardziej podejrzane. Mama, ciocia Halszka, *monsieur* Martin i dzieci siedzieli z boku na ławce, w milczeniu przyglądając się robocie. (Marietka tylko chodziła po alei, zwinnie przesuwał się między ludźmi i zbierając z ziemi ślimaki, odnosiła je dalej

na trawnik, by nie były rozgniatane przez nieuwważnych kopaczy).

Prawie nie rozmawiano.

Od czasu do czasu ktoś rzucał jakąś radę lub wskazówkę. Nikt w tym nateżeniu uwagi nie spostrzegł, że Tom podobny był raczej do zmokłej kury niż do przyzwoicie ubranego chłopca i że siedział na boku nadęty i ponury.

Oparty o drzewo Nik przeżywał dziwne chwile. Wierzył mocno, że jeszcze moment, jeszcze parę wysiłków, a oczom wszystkim ukazą się jakieś niepojęte cuda. Snuły mu się po głowie zgoła nieprawdopodobne obrazy! Jakieś wielkie pozłociste skrzynie pełne różnobarwnych, świetnie błyszczących kamieni, jakieś nieskończenie długie sznury łzawych pereł! Jakieś wysadzane brylantami rękojeści szpad rycerskich! Nie był nawet pewien, czy się spod ziemi nie wyłoni szklana trumienka ze śpiącą królewną i czy nie trzeba będzie z narażeniem życia bronić jej od jakichś niewidzialnych mocy.

Wśród tych barwnych marzeń posłyszał głos Olka, mówiący mu do ucha:

— Jestem pewien, że daremnie skopią całą aleję. Figa będzie z całego skarbu!

Nik rzucił się niecierpliwie.

— Jeśli będzie figa — odparł porywczo — to ją sobie zjesz, a już skarby, proszę cię, odstęp mnie na wszelki wypadek.

— Naturalnie, ci się kłócą w takiej ważnej chwili — rzekła pogardliwie Renia — zupełnie nie umiecie zastosować się do okoliczności.

Chłopcy opamiętali się natychmiast i — aby uniknąć nowej kłótni, która wobec podniecenia umysłów i naprężenia nerwów wisiała na włosku — zabrali się do kopania.

Po wczorajszej ulewie kopać było ciężko, ziemia wilgotna, czarna, lśniąca, miękko opadała, odrzucana na trawniki.

Pierwszy Sławian zadzwonił łopata o coś twardego i wykrzyknął triumfalnie: „Szoś tu je²⁷!”.

Wszyscy skoczyli ku temu miejscu, ale kiedy oczom ukazał się spory, płaski kamień, zniechęcenie ogarnęło umysły.

²⁷*szoś tu je* (ukr. gw.) — coś tu jest. [przypis edytorski]

— Mój drogi — rzekł wuj Ryszard do ojca — widzę już, że nic z tego nie będzie.

— Oo musi być! — rzekł twardo ojciec. — Będziemy kopać jeszcze głębiej, rozkopujemy obydwie aleje, ale musi się znaleźć!

I kopano dalej, ale już bez wielkiej wiary w powodzenie sprawy. Po upływie dwudziestu może minut, które nieskończenie się wlekły, tenże sam Sławian znowu napotkał opór pod łopata, tym razem jednak nie spieszył się z ogłoszeniem tego wszem wobec i uskutečnił to dopiero, gdy oczom jego ukazało się czarne, zardzewiałe i opleśniałe wieko żelaznej skrzynki.

Wtedy rzekł z głęboką dumą:

— A wsio taki ja naj szoł²⁸!

Skrzynkę przeniesiono natychmiast do gabinetu ojca i otworzono w asystencji wszystkich dzieci. Znalazły się w niej zaginione dokumenty, pożółkłe papiery rodzinne, prastare i pisane dziwnym, pełnym uroku językiem.

²⁸A wsio taki ja naj szoł (ukr.) — a jednak znalazłem. [przypis edytorski]

Zamknięto to wszystko w kasie do chwili, w której miały dać świadectwo prawdzie.

Nie kuszę się nawet opowiedzieć, jakie uczucia dumy, radości i triumfu rozpierały serca dzieci.

Radość zapanowała taka, że Olek z Nikiem rzucili się sobie w objęcia i ślubowali dozgonny pokój. Renia ofiarowała Alemu swego oswojonego jeża, a Tom obiecał Ani, że się z nią zabawi w czerwonoskórych.

Wieczorem w oficynach cała służba domowa i folwarczna została suto obdarowana i przyjęta wspaniałą ucztą na uczczenie pamiętnego dnia. Każda bowiem radość w Nizpolu ogarniała nie tylko dwór, lecz i oficyny i zaglądała przez kwadratowe szybki do czworaków i chat.

ROZDZIAŁ XIX. WIERSZE JESIENNE

Jesień przyszła późno i taka cudna, taka złocisto-czerwona, że prawie nie żał było lata. Kasztany stały się miedziane, a ich owoc brązowy

i lśniący zaścielał wraz z liśćmi aleje. Srebrne wierzby strząsały do wody długie, jasne łyzy swoich liści, a klony pokrywały się taką królewską purpurą i złotem, że aż w promieniach ukośnych jesiennego słońca wydawały się wcale nie rzeczywiste, a jakby z bajki.

Ale najpiękniejsze ze wszystkiego było dziekie wino, taką różnorodnością pokryło się barw: malinowe, wpadające w ciemny fiolet, gdzie indziej znów dukatowo-złote, a zaś tuż obok były jeszcze gałązki zupełnie zielone przy miedzianno-rudych.

Chryzantemy kwitły na rabatach, w domu, cieplarniach, wszędzie. Wszędzie było pełno ich rozczochranych, kolorowych, fryzowanych główek. Ciągłe ktoś wracał z inspektów lub parku, z pełną naręczą tych cudnie dorodnych kwiatów i rozmieszczał je w urnach lub wazonach, w każdym kąciku domu. Wkrótce nie było już gdzie ich stawiać.

Wszystko to było tak smętnie poetyczne, że aż Nik, idąc aleją lipową pod dywanem kolorowych liści, ułożył następujący wierszyk:

Idę po złocie i purpurze
i patrzę na jesienne róże,
na płacz ich płatków niemy.

Wino się złoci już na murze
i przekwitają astry duże
i złote chryzantemy.

Powraca Olek w chmielu furze,
a tak głęboko siedzi w dziurze,
że widać tylko czapkę.

Pójdę i cały chmiel rozburzę,
bo i ja też chcę siedzieć w dziurze;
mam wielką na to chrapkę.

Wprawdzie dzieci strasznie się wyśmiewały
z tej „czapki i chrapki” nie mniej jednak odtąd
ile razy które z nich szło aleją, szeleszcząc noga-
mi w zeschniętych liściach, mimowolnie szeptało
sobie z cicha: „Idę po złocie i purpurze i patrzę
na jesienne róże” itd.

Nastrój do pisania wierszy udzielił się wszystkim. Marta napisała, co następuje:

Mój mały
kotek biały
czasem drapnie mnie pazurkiem,
a kiedy się bawi z burkiem,
prycha, pluje, grzbiet wygina,
moja maleńka kocina!

Było to krótkie i nic niemające wspólnego z jesienią, ale wydało się dzieciom niezłe. Tomek zaś napisał następujący poemat:

Olek i Nik to są źli chłopcy.
Na obiad dzisiaj byty klopsy.

Daremnie Nik starał się wytłumaczyć, że „chłopcy” i „klopsy” to zupełnie marny rym i że zresztą wierszyk nie ma ani sensu, ani nastroju. Tom był przekonany, że przez Nika przemawia zazdrość autorska, czuł się ze swego wiersza zadowolony i nic nie chciał w nim ani zmienić, ani dodać.

Nawet Ania, nasłuchawszy się o tym wszystkim, razu pewnego, odnalazłszy zagubioną piłkę, rzekła: „*Là — voilà*²⁹” i była najmocniej przekonana, że to jest wiersz i nawet że jest bardzo ładny, bo francuski.

Olek tylko nic nie chciał skomponować. Nawet nie robił w tym kierunku żadnych usiłowań. Powiedział, że za dużo jest roboty w polu, aby czas tracić na podobne głupstwa. Kopia buraki i kartofle. Orka idzie w całej pełni, wożą nawozy w pole, sieją oziminy, z lasu się zwozi drzewo na zimę. Słowem pełno najciekawszych zajęć! Czyż jest czas o wierszach myśleć?

ROZDZIAŁ XX. ISTOTNY SKARB

— Zrobiła się już zupełna jesień! — rzekł Tom, rozplaszczając melancholijnie nos o zalaną deszczem szybę.

— To nic! Zaraz będzie śnieg i można będzie robić bałwany i jeździć sankami! — wesoło przypomniała Ania, której humoru niezdolne

²⁹*Là, voilà* (fr.) — oto jest. [przypis edytorski]

było zepsuć nawet czarne od chmur, żałośliwe niebo.

— Phii... kiedy to będzie? A tymczasem Gabro już nawet łabędzie zabrał ze stawu i nie ma komu bułki nosić. Trzeba w domu siedzieć i uczyć się. Myślisz, że to przyjemnie się uczyć? Mała jesteś i nic prawie nie wiesz.

Umilkli. Za oknem szarzało gwałtownie. Na tle pociemniałego nieba coraz groźniej rysowały się bolesne sylwety odartych z liści, zapłakanych drzew parku. Wiatr chwycił niekiedy ich bezbronne konary i trząśł, i szarpał, i wyginał Nielitościwie, i naigrawał się z ich nagości, naśmiewał z utraconej urody, natrzęsał z nędzy i martwoty.

Na parterze kwiatowym jedne za drugimi, długim szeregiem róże, przygięte do ziemi i pokryte zeschniętym liściem i świerczyną, wyglądały jak smutne, małe mogiłki cmentarza.

Z urn labradorowych, z których dawno już powyjmowano przekwitłe pelargonie, przelewała się deszczowa woda, kapiąc jednostajnie na marmur schodów.

Widać było poprzez nagie gałęzie drzew, jak daleko, daleko po drodze wiejskiej sunął wóz, raz po raz grzęznąc w błocie, zmokły i zmęczony na tle czarnej drogi.

Wszystko wokoło było monotonne, bolesne, umierające i zalane łzami. Chciało się płakać razem z niebem albo zasnąć cichutko z głową wtuloną w poduszkę.

Z daleka, poprzez pokoje doleciały tony muzyki.

— Mama *grla!* — krzyknęła Ania i frunęła z okna jak ptaszek. Tom statecznie, acz krokiem przyspieszonym poszedł za nią.

Mama grała nie na fortepianie, a na pianinie stojącym w bibliotece.

Palił się tam na kominku ogień i cała przeciwległa ściana zalana była czerwonym, pełzającym światłem.

Przed kominkiem w fotelu siedział ojciec i patrzył w ogień, paląc fajkę.

Na otomanie naprzeciw ognia siedzieli Olek, Nik i Marta.

Tom i Ania wtulili się między nich, opierając głowy o poduszki.

Mama grała Szopena. Dzieci znały go dobrze, z tym większą tedy rozkoszą słuchały tej przedziwnej muzyki, a każdy ton zapadał głęboko w serce i stawał się jego częstką drgającą.

Mama grała długo nokturny, etiudy i preludia, aż Tom zdrzemnął się nieco, z głową na ramieniu Marty i zbudził się dopiero w chwili, gdy to usłużne ramię usunęło się z nienacka, a głowa jego trafiła w siedzenie kanapy. Ocknąwszy się, zobaczył, że dzieci stoją przy fortepianie i śpiewają. Wobec tego zlął z otomany i przyłączył się do chóru.

Tam na górze jawor stoi,
jawor zieleneńki,
ginie Kozak w obcej stronie,
Kozak młodzieńki.

Ginie Kozak w obcej stronie,
śmierć mu oczy tuli,
«Proszę ciebie moja miła,
donieś to matuli».

Przyszła matka, przyszła matka,
przyszła matuleńka...

Po tej ulubionej pieśni zaśpiewano: „Na szerokim polu”. Potem znów bretońską piosnkę, drogą dzieciom, pełną melancholii:

*Un jour sur un gros navire,
vire au vent, vire, vire,
la mère embarqua son gars.
Le marin ne revint pas³⁰...*

Żeby się rozweselić po tych wszystkich smutkach zaśpiewano: „Zesłał Pan Bóg kozę, żeby gruszki trzęsła”, w której to piosence Tom cudów dokazywał zupełnie wstrząsającym basem. Potem zaś przyszła kolej na piosnki Noskowskiego,³¹ a cały koncert zakończył się jesienną nutą:

Wicher wieje, deszcz zacina,

³⁰*Un jour sur un gros navire (...)* *ne revint pas* (fr.) — pewnego dnia syn wsiadł na wielki statek i matka nie ujrzała już więcej swojego marynarza. [przypis edytorski]

³¹*Zygmunt Noskowski* (1846–1909) — kompozytor, działacz kulturalny i pedagog muzyczny, propagator twórczości Chopina. [przypis edytorski]

jesień, jesień już.

Świerka świerszczyk zza komina,
naszej chaty stróż...

Zakończywszy, mama zamknęła pianino i siadłszy przed kominkiem w ogromnym fotelu, wzięła Anię na kolana. Dzieci rozsiadły się na dywanie wokół ognia. Nik siadł tuż obok matki, oparł głowę o jej kolana i zadumał się.

Z początku słyszał jeszcze, jak mama mówiła do ojca: „Jak to dobrze, że nie jedziemy w tym roku do Warszawy, tak nam dobrze w Nizpolu” — ale już odpowiedź ojca utonęła w półsennych marzeniach.

Było mu niewypowiedzianie dobrze. Patrzył na syczące, złote płomienie drgające w głębi kominka, czuł dobroczynne ich ciepło i cieszył się z ich radosnego światła.

Na dworze wicher jęczał, a deszcz bił w szyby.

Serce Nika stało się ogromne, bijące; ogarnęło wszystko na ziemi, dla wszystkiego czuło gorącą miłość. „Daj Boże, daj Boże, abym mógł

kiedyś spełnić wielki, bohaterski czyn, uszczęśliwić miliony ludzi, umrzeć za ojczyznę, poświęcić się, zwyciężyć!” — snuło mu się przez myśl.

A potem nagle siadł wyprostowany i zastanowił się głęboko:

„Dlaczego mi jest tak dobrze?” I oto zrozumiał nieomylnie, że szczęście, które odczuwał, nie wypływało z miękkiej ciszy pokoju ani z gorących i jasnych płomieni kominka, ale miało swoje siedlisko w kochających, niezawodnych sercach matki, ojca i tej całej gromadki najdroższych istot, bliższych niż wszystko na świecie.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony:
<http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/zurakowska-skarby>

Tekst opracowany na podstawie: Zofia Żurakowska, Skarby, Pożegnanie domu, Druk. Reprint, Warszawa 1991

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z książki udostępnionej przez Martę Kierepkę. Utwór powstał w ramach "Planu współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 roku" realizowanego za pośrednictwem MSZ w roku 2014. Zezwala się na dowolne wykorzystanie utworu, pod warunkiem zachowania ww. informacji, w tym informacji o stosowanej licencji, o posiadaczach praw oraz o "Planie współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 r."

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska.

Okładka na podstawie: Orszak, z cyklu "Z dziecięcych póż", Wojtkiewicz, Witold (1879-1909), domena publiczna

ISBN 978-83-288-1068-6

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu i Skarby mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

238

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska